

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. | Kraków, 4 maja 1912. | Nr. 18.

Zbrodnia alkoholika.

(Treść na str. 2).



Zbrodnia alkoholika.

(Do illustracyi tytułowej).

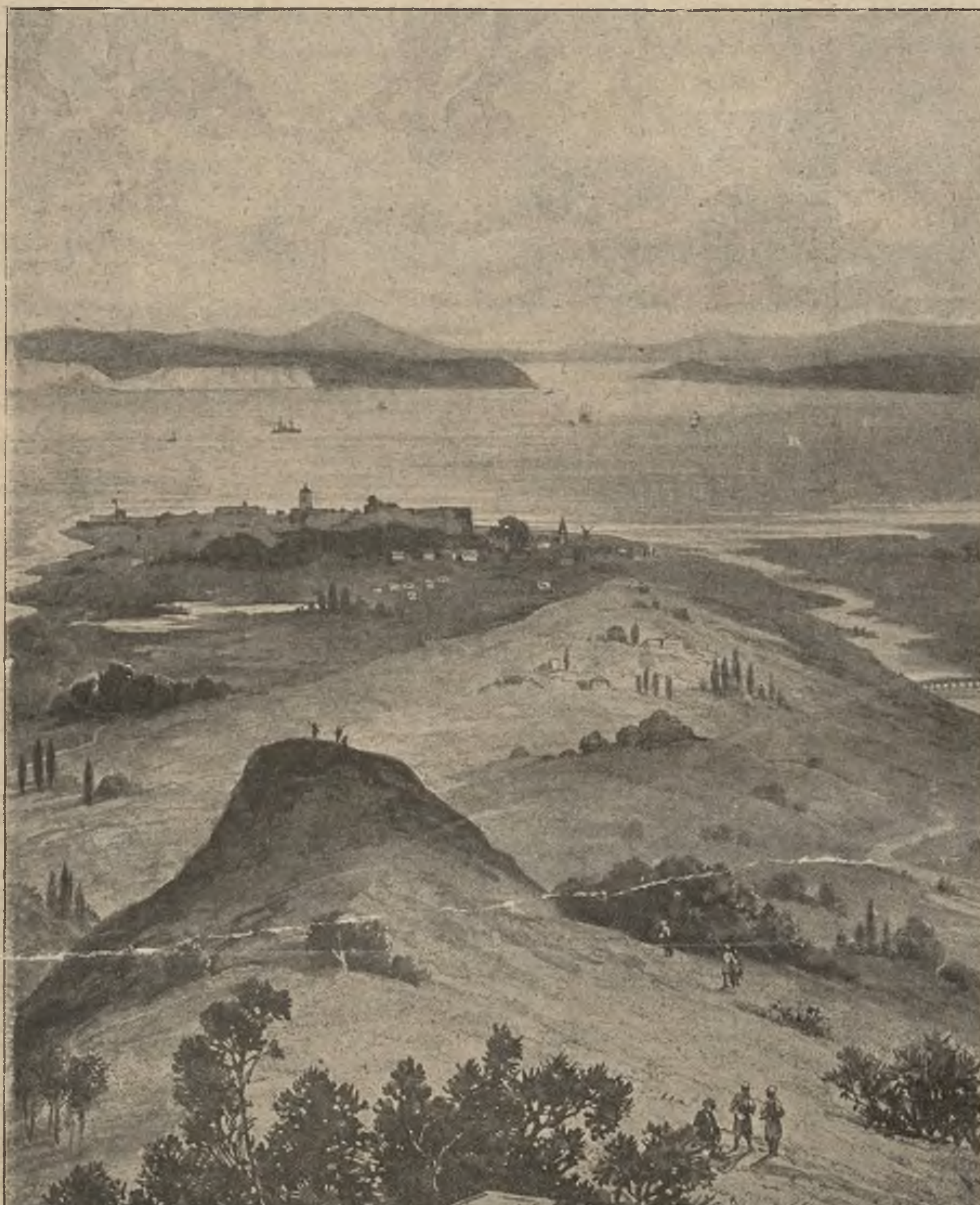
Jedną z najstraszliwszych klęsk społecznych jest niewątpliwie alkoholizm. Ruina majątkowa i moralna, nędza całych rodzin, krwawe bójki, a wreszcie najpotworniejsze zbrodnie — wszystko to ma najczęściej źródło w nadużywaniu alkoholu. Nałóg ten, oprócz doraźnych skutków, odbijających się tak ujemnie na życiu alkoholika i jego otoczenia, sprowadza słabsze jednostki „na dno" nie tylko nieszczęścia, ale ostatecznego zwyrodnienia moralnego, które istoty ludzkie przeistacza na wyzutych z wszelkiego poczucia zbrodniarzy i morderców.

W tych dniach właśnie Warszawa wstrząśnięta została taką zbrodnią, spełnioną na tle alkoholicznego zwyrodnienia. Pracownik rzeźniczy, Józef Topolski, oddawał się od pewnego czasu nałogowemu pijaństwu. W stanie nietrzeźwym wszczynał ciągłe sprzeczki z żoną, bił ją, maltretował... Mieszkańcy domu Nr. 3 przy ul. Białostockiej, gdzie mieszkali Topolscy, byli ciągle alarmowani gwałtownemi scenami w ich mieszkaniu i krzykiem bitej żony...

W dniu 27 kwietnia w mieszkaniu Topolskich rozległy się znowu rozpaczliwe krzyki, poczem nagle się uciszyło. Zaniepokojeni sąsiedzi wezwali policyę, która zapukała do mieszkania Topolskich. Drzwi się otworzyły, a na progu stanął słaniający się Topolski z pokrwawioną szyją i ociekającym krwią nożem w ręce. Zanim zoryentowano się w sytuacyi, Topolski szybkim ruchem zadał sobie drugą ranę w gardło i omdlały runął na ziemię...

Wtedy dopiero przedostano się do kuchni, gdzie oczom przybyłych przedstawił się okropny widok: na podłodze, w kałuży krwi, leżała martwa Topolska z odciętą prawie głową, która tylko na kręgosłupie trzymała się tułowia.. Poprzewracane w mieszkaniu sprzęty świadczyły, że Topolska usiłowała się bronić, a poprzecinane do kości palce wskazywały, że w ostniej jeszcze chwili chwyciła za nóż, którym mąż-morderca zarzynał swą ofiarę...

Dokonawszy tego potwornego mordu, Topolski usiłował wprawdzie sam wymierzyć sobie sprawiedliwość, ale dwie rany w szyję, jakie sobie zadał nożem, nie były śmiertelnemi. Wezwane pogotowie odwiozło mordercę do szpitala w stanie ciężkim, lecz nie zagrażającym życiu... Zbrodniarz alkoholik będzie więc musiał straszny swój czyn odpokutować w więzieniu...

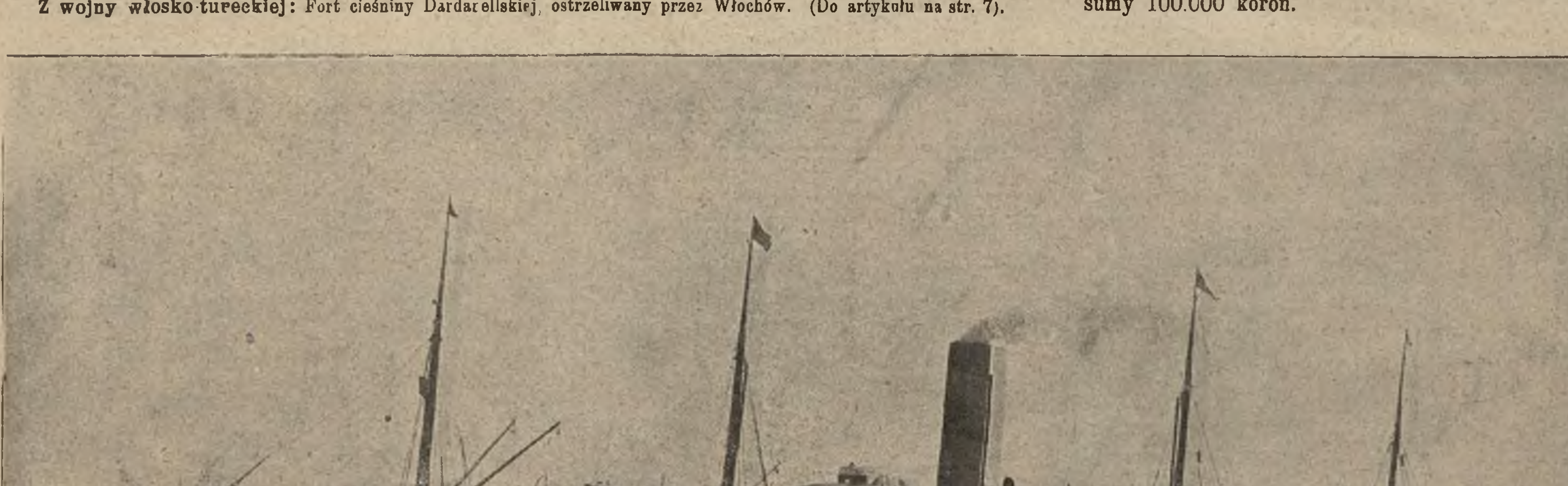


Z wojny włosko-tureckiej: Fort cieśniny Dardanelskiej, ostrzeliwany przez Włochów. (Do artykułu na str. 7).

Uczczenie zasług urzędnika-obywatela.

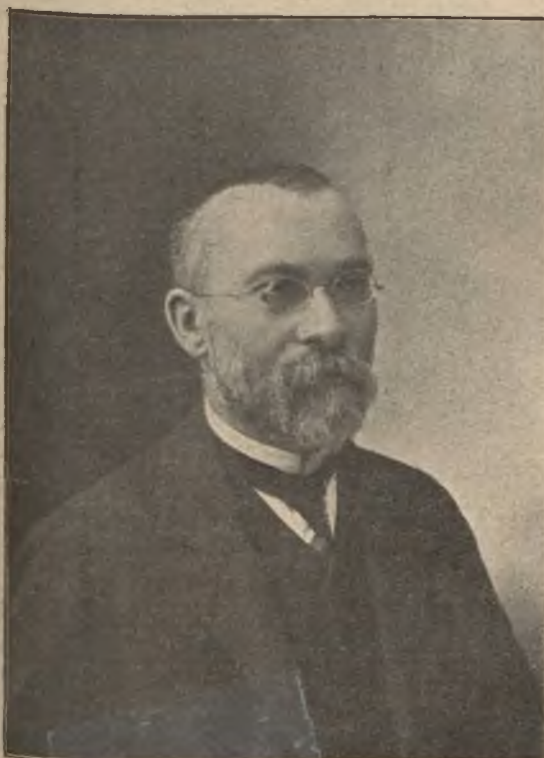
Samopomoc i organizacya są dziś jednym z ważniejszych czynników, zapewniających sferom pracującym należytą ochronę ich interesów i skuteczną pomoc w wypadkach nagłej potrzeby. Wzorem takich instytucyi, opartych na samopomocy, a niezmiernie pożytecznych, jest niewątpliwie Towarzystwo czynnej pomocy urzędników pocztowych, które za minimalną wkładką miesięczną niesie licznej rzeszy pracowników pocztowych materyalną pomoc, w chwili najkrytyczniejszej, bo w chwili śmierci członka.

Towarzystwo to, mające swą siedzibę we Lwowie, rozwija się bardzo pomyślnie i dziś w trzydziestym pierwszym roku istnienia pod pełnem poświęcenia kierownictwem p. Wincentego Tournellego, inspektora poczt ze Lwowa, liczy 1900 członków, a rubryka wypłaconych, bezzwrotnych zasiłków od początku założenia tej instytucyi sięga poważnej sumy 100.000 koron.



Po katastrofie „Titanica": Okręt „Carpathia", który uratował rozbitków z „Titanica".

Towarzystwo czynnej pomocy urzędników pocztowych obejmuje swą działalnością całą Galicyę, a pomyślny jego rozwój zawdzięczać niewątpliwie należy gorliwej pracy ofiarnych jednostek. Dla in-



Uczczenie zasług urzędnika-obywatela: Starszy oficyał Romuald Szulisławski, mianowany członkiem honorowym Tow. czynnej pomocy urzędników poczt.

stytucyi tej położył zwłaszcza wielkie zasługi delegat Towarzystwa na Kraków, p. Romuald Szulisławski, starszy oficyał pocztowy, który od 20-tu lat z całem poświęceniem pracuje dla dobra Stowarzyszenia i jego członków. To też w uznaniu tych zasług Towarzystwo mianowało go członkiem honorowym. Akt wręczenia p. Szulisławskiemu dyplomu członka honorowego odbył się bardzo uroczyście w dniu 28 kwietnia w sali Klubu pocztowego w Krakowie.

Na uroczystość tę przybyli delegaci wydziału ze Lwowa, pp. M. Cwikłowski i J. Zipper, radca dworu p. M. Biliński, dyrektor poczt, p. Nikodemowicz, przewodniczący wszystkich organizacyi zawodowych i liczne grono członków ze wszystkich kategoryi funkcyonaryuszy pocztowych. Wzruszony do głębi jubilat, otrzymawszy dyplom honorowy z rąk p. Zippera, podziękował gorąco za zaszczyt, jaki go spotyka, poczem dla upamiętnienia uroczystości dokonano zdjęcia fotogr. grupy jej uczestników. Następnie zgromadzeni przystąpili do dyskusyi nad projektem statutu kasy chorych, przedłożonym przez p. M. Niwickiego. Poważny przebieg tej dyskusyi dał chlubne świadectwo urzędnikom pocztowym, którzy zresztą już samem powołaniem do życia tak potężnej dziś organizacyi, jak „Związek ekonomiczny", złożyli dowód głębszego pojmowania socyalnych zagadnień i szerokiej inicyatywy.

Po katastrofie „Titanica".

Straszna katastrofa okrętu „Titanic" wstrząsnęła całym światem. Okazało się, że najgenialniejsze wynalazki techniki są nieraz bezsilne w walce z silami przyrody.

Nie ulega jednak wątpliwości, że w katastrofie tej dużo zawiniła niedbałość i lekkomyślność. To też na wniosek uchwalony w senacie Stanów Zjednoczonych wytoczono Tow. „White Star Line" śledztwo, które prowadzi specyalna komisya. Wtoku dochodzeń wyszły na jaw najrozmaitsze szczegóły katastrofy, które na jej przebieg i przyczyny rzucają ponure światło.



Z wojny włosko-tureckiej: Wybuch min podwodnych w cieśninie Dardanellskiej. (Do artykułu na str. 7).

Przedewszystkiem okazało się, że dwa okręt przepływały w czasie wypadku tak blisko miejsc zatonięcia „Titanica", iż gdyby były pospieszyły z po mocą, wszyscy pasażerowie byliby uratowani. Jeden z nich „Californian" płynął w odległości 20 mil morskich i widział sygnały ratunkowe. Dla niewiadomych przyczyn nie zatrzymał się jednak. Drugi sta tek, parowiec holenderski „Hellig-Olaf", także w dział sygnały i pospieszył z pomocą. W ostatni chwili jednak olbrzymia góra lodowa zagrodziła m drogę i mimo wysiłków nie mógł dotrzeć do toną cego „Titanica".

Okręt „Carpathia" przybył na miejsce katastrofy dopiero w dwie godziny po zatonięciu „Titanica" to też zabrał na pokład tylko tych nielicznych pa sażerów, którzy schronili się na łodzie.

Wogóle okolice Nowej Funlandyi, gdzie zatoną „Titanic", smutnie są zapisane w kronikach kata-



Uczczenie zasług urzędnika-obywatela: Uczestnicy uroczystości na cześć starszego oficyała poczt. w Krakowie, Romualda Szulisławskiego.



Po katastrofie „Titanica“: Telegrafista Philips, który przez wysłanie depesz alarmowych ocalił rozbitków, a sam zginął na „Titanicu“.

Illustracye nasze przedstawiają jeden z portów Nowej Funlandyi w okolicach „cmentarza morskiego“ podobizny Ismaya i telegrafisty „Titanica“, Philipsa, oraz okręt „Carpathia“, który uratował rozbitków.

Wylewy w Ameryce północnej.

(Do illustracyi na str. 9).

Równocześnie prawie, gdy u nas z początkiem kwietnia śniegi i deszcze spowodowały wezbranie rzek i wielkie wylewy, w północnej Ameryce powodzie stały się przyczyną katastrof, które pochłonęły wiele ofiar i spowodowały milionowe straty. Najwięcej szkód wyrządziła tam jedna z największych rzek na świecie, Mississipi, a wody jej zalały tysiące mil, pozbawiając kilkadziesiąt tysięcy ludzi dachu nad głową. W stanie Arkansas, koło miejscowości Goldenlake, fale powodzi przerwały wał ochronny, zalewając w przeciągu kilku godzin 2000 mil kwadratowych. Kilka miast leżących na tej przestrzeni zostało zupełnie zatopionych.

Wylew był o tyle straszniejszy, że trwał blisko dwa tygodnie. Miejscowości, które woda zalała, z powodu przerwania wszelkiej komunikacyi narażone były na brak żywności. Gwałtowny pęd wody porywał w wielu miejscowościach mosty. Tak rozbity został zupełnie prawie most kolejowy koło Memfis. Wezbranie fal było tak nagłe, że most został rozbity w chwili, gdy przez niego przejeżdżał pociąg. Wagony szczęśliwie ocalały na części mostu, która się nie zapadła. Natomiast fale zniosły oba naczółki mostu, tak, że przez pewien czas nie było wcale dostępu do pasażerów pociągu.

Illustracya nasza przedstawia rozbity most ze stojącym na nim pociągiem, którego lokomotywa została uszkodzona.



Po katastrofie „Titanica“: Prezes Tow. okrętowego „White Star Line“. B. Ismay, którego lekkomyślność spowodowała katastrofę „Titanica“.



Uczczenie zasług urzędnika-obywatela: Radca Wincenty Tournelle, prezes Tow. czynnej pomocy urzędników pocztowych.

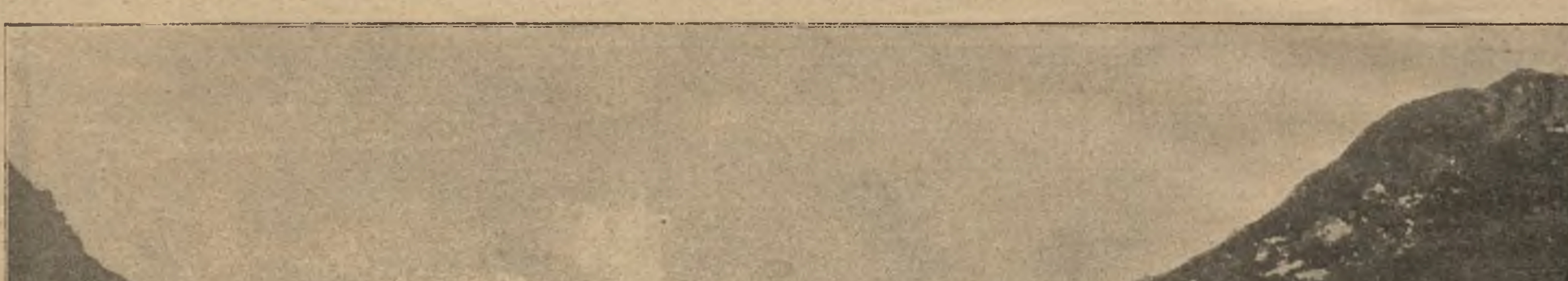
strof morskich. Co rok o góry lodowe rozbija się tam pewna liczba okrętów. To też okolice te noszą w języku marynarzy nazwę „cmentarza morskiego“.

Zatoki Nowej Funlandyi są zasypane szczątkami tych niebezpiecznych dla żeglugi gór lodowych, jak to widzimy na jednej z naszych illustracyi.

Komisya śledcza prowadzi swe dochodzenia w sprawie katastrofy „Titanica“ bardzo energicznie. Za głównego winowajcę uważają ogólnie dyrektora Tow. okrętowego, Ismaya, który chciał nawet zbiedz do Europy przed śledztwem. Na rozkaz komisyi zatrzymano go jednak w Ameryce.

Dochodzenia śledcze bowiem ustaliły, iż powodem katastrofy była karygodna lekkomyślność dyr. Ismaya, który jadąc na „Titanicu“, chciał zdobyć rekord szybkości i kazał kapitanowi pędzić bez upamiętania.

Jedną wszakże korzyść odniósł ogół ze strasznej katastrofy „Titanica“. Mianowicie rządy wszystkich państw, które utrzymują żeglugę morską, zażądały od towarzystw przewozowych, aby zaopatrzyły wszystkie parowce w odpowiednią liczbę łodzi ratunkowych.



Po katastrofie „Titanica“: Port St. Johns w Nowej Fundlandyi, w strefie pływających gór lodowych, w pobliżu miejsca, gdzie zatonął „Titanic“.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

15)

— Może krakowskim, — dorzucił doktor, — bo konserwatyzm, to cecha Krakowa.

— Za też pan Krakowianin, — mówiła z wyrzutem Klimcia, — a tak nienawidzi Krakowa?

— Któż to pani powiedział? — zdziwił się, — jestem wprost rozkochany w Krakowie, uważam go za najpiękniejsze miasto w Polsce i zawsze z radością go witam po każdej podróży.

— Ładna mi miłość, — zadrwiła radczyni, — suchej nitki pan na nim nie zostawiasz, ciągłe krytyki, wyśmiewania.

— Tylko z moich współobywateli, ale nie z miasta.

— I co pan im ma do zarzucenia?

— Poszczególnym ludziom nic, są mniej lub więcej przyjemni, nawet rozumni, ale tłum, pani, tłum! Taka już nie specyalna głupota, ale ogólna, ta prosi się o smaganie.

— Rozumny człowiek jest wyrozumiały, odezwał się poważnie Maryewski.

— Ma pan słuszność — skinął doktór głową, — syty i bezpieczny o przyszłość, jest zawsze wyrozumiały.

— Czy to znaczy, że pan doktor siebie za takiego uważa? — uśmiechnęła się Klimcia.

— Mówiąc symbolicznie, cierpię na równi z innymi na głód serca — odciął doktor.

Przez ten czas Roman nalewał herbatę a Irena roznosiła.

— Pozwolisz, Paulisiu, że panowie zapalą papierosy?

— Jeśli chcą... dobrze.

Doktor, Maryewski i Roman zajęli się uprzątaniem stołu i ustawianiem reszty butelek niewypitych.

— Panie adjunkcie, jeszcze po lampce wina — zachęcał Roman.

— A dobrze, jak wisieć to wisieć; wiem, że jutro odchoruję.

— Przyjdź pan do mnie, dam proszki, pomogą na pewno po takiem pijaństwie, uśmiechnął się doktor.

Wszczęła się rozmowa o nowinach dnia, o polityce, o przyszłych, a blizkich wyborach do Rady Państwa.

Pierwsza wstała radczyni i poczęła się żegnać. Zatrzymywała ją Czajkowska mówiąc:

— Zostań jeszcze, Paulisiu, czy się tak znudziłaś?

— O, nie! było nawet wesoło... — zapewniała radczyni — ale nie chcę wam przeszkadzać.

— Jakto, Paulisiu, w czem? — zaniepokoiła się Czajkowska.

— Bez nas będzie wam swobodniej.

— Cóż znowu, z tobą o wiele przyjemniej.

— Idziemy wszyscy, — mówił doktor, a spojrzawszy na zegarek: — Boże! już kwadrans na jedenastą, cały Kraków śpi! Chodźmy, chodźmy!

Roman ofiarował się, że odprowadzi ciotkę i kuzynkę. Odmówiła radczyni, zwłaszcza, że doktor powiedział:

— Zostań pan. Pani radczyni pozwoli się odprowadzić?

— Bardzo chętnie.

— No, a pan, panie adjunkcie, nie przejdzie się z nami? — zachęcał doktor.

— Takie wilgotne powietrze... gdyby nie było pana doktora, to naturalnie, z całą przyjemnością...

— Już niech nas pan nie odprowadza, — zaśmiała się radczyni, — zwalniam pana, ale musi pan przyrzec, że odwiedzi nas w tych dniach; nie należy tak zaniedbywać dobrych znajomych.

— Będę napewno, tylko dnia oznaczyć nie mogę.

Po wyjściu gości, Roman, pomagając matce i siostrze w uprzątaniu, spytał z odcieniem dumy:

— A co doktor? czy nie jest to żywy człowiek?

— Bardzo przyjemny, może trochę za bardzo złośliwy.

— Moja mamo, — odezwała się Irena, — w Krakowie chyba nie można być zbyt złośliwym.

XIV.

Przymusowa bezczynność i troska o przyszłość męczyły Romana i zatruwały mu każdą przyjemną chwilę. Widział, z jaką obawą matka codziennie obliczała wydatki, oszczędzała o ile umiała i mogła, a nie chcąc go martwić, tłumiła w sobie wzrastający niepokój.

Postanowił ogłosić w dziennikach, że poszukuje posady buchaltera, kasyera, korespondenta, i podał adres pod literami na pocztę. Przez jakiś czas chodził regularnie i dopytywał się o listy.

Po tygodniu otrzymał nareszcie odpowiedź na swe ogłoszenie. Ofiarowano mu miejsce buchaltera i korespondenta w browarze na głębokiej prowincyi z płacą stu koron i mieszkaniem. Posada ta, zdala od Krakowa, z nizką płacą, którąby ledwie wystarczyła na utrzymanie jego jednego, wydała mu się niemożliwą do przyjęcia i napisał list odmowny.

Trochę z nudów, a trochę z potrzeby widywania ludzi, zwłaszcza przyjezdnych, zaczął bywać na piwie w pierwszorzędnym handlu, gdzie istotnie spotykał się z kilku Warszawiakami i stopniowo poznawał też ze stałymi gośćmi handlu. Wszedł w towarzystwo względnie młodych ludzi, urzędników, którzy dość wesoło czas przepędzali, a dowiedziawszy się o poszukiwaniu posady przez Romana, zajęli się tą sprawą trochę przez ambicyę, a trochę powodowani sympatyą.

Na jednem z takich posiedzeń gwarnych przy piwie, sąsiad Romana Kanicki, blondyn, z przyjemną twarzą, zaczął głosem miarowym, obojętnym:

— Panie Czajkowski, znalazł pan posadę?

Roman potrząsł przecząco głową, a Kanicki mówił dalej:

— Słyszałem dziś w biurze, że skład węgla Lenfussa poszukuje buchaltera i korespondenta, gdyby się ta posada panu nadała, znalazłbym drogę do Lenfussa.

Roman uścisnął rękę Kanickiego i zawołał gorąco:

— Serdecznie dziękuję panu, i będę korzystał. Nie masz pan pojęcia, jaka nuda i pustka bez pracy.

To żywsze przemówienie zwróciło uwagę towarzystwa, i Remberski, łysawy szatyn z ciemnymi wąsami na przyjemnej, łagodnej twarzy, spytał:

— O czem to mówicie?

Kanicki milczał z dyplomatyczną obojętnością, podparłszy brodę na ręku, a Roman odpowiedział tonem wdzięczności i uznania:

— Pan Kanicki był tak dobry, że pamiętał o mej sprawie, i już za to samo jestem bardzo wdzięczny.

— Bez tej blagi! — mruknął z arystokratyczną miną Kanicki:

Skądże wytrzasnąłeś posadę? — spytał z zajęciem Remberski, — bo ja mości dzieju, pół roku jak obszył. szukałem posady dla szwagra...

— Rodzonego, czy przygodnego? — spytał poważnie Kanicki.

— Głupiś, odparł z dobroduszną miną Remberski, — przygodnych nigdy nie liczę, mówię o szwagrze autentycznym, i niech mię jasny piorun trzaśnie, jeśli znalazłem. A mam, mości dzieju, i kolegów, i przyjaciół... i nic, — rozłożył ręce. — A jaka to posada?

— Pan wie, spojrzał Roman na Kanickiego, który odchrząknął i odrzekł jednostajnym głosem:

— Dziś do biura wpadł Kerner...

— Czy on z naszych? — uśmiechnął się Remberski.

— No, tak, z tej starej, palestyńskiej arystokracyi... i opowiadał, że jego krewny Lenfuss węglarz, robi doskonałe interesa, tak dalece, że potrzebuje już buchaltera i korespondenta. Opowiedziałem to panu Czajkowskiemu.

— A ja ci powiadam, mości dzieju, — mówił tonem przekonania Remberski, gestykulując prawą ręką z wyprostowanymi trzema palcami, — że to łajdak i oszust.

— Kto? — spytał poważnie Kanicki, — Kerner, czy Lenfuss?

— Mości dzieju, oba! bo oba żydowiny, to wystarczy.

— To już przesada, — wmieszał się do rozmowy Milczak, szatyn szpakowaty z żywemi, bystremi oczyma, — i ty zawsze, Remberski, jedziesz na tych żydów.

— Uspokój się bracie, jeśli mówię, że Lenfuss oszust i łajdak, to niech mnie jasny piorun trzaśnie, jeśli to nieprawda.

— Masz dowody? — spytał zimno Kanicki.

— Szpetne, — popił piwa.

— Pewnie plotki babskie, — zarzucił Milczak, — Lenfuss przychodził do nas do biura, gładki człowiek.

— Jak lis, jak wąż, mości dzieju — puścił kłąb dymu — a co do plotek, nigdy ich nie słucham, nie powtarzam i z babiszonami nie rozmawiam.

— Dowody? — spojrzał Kanicki poważnemi niebieskiemi oczyma na Remberskiego, który odpowiedział:

— Słuchaj, w Oświęcimiu, ten sam jewrej, ale chodził w chałacie i z trybuszonami, miał skład drzewa. Ponaciągał okolicznych obywateli, co darowałbym złodziejowi, bo i oni oszukują chłopa; ale, mości dzieju, przyjął buchaltera, korespondenta, kasyera, inkasenta, wszystkich za kaucyą i pewnego dnia zbankrutował. Ułożył się z wierzycielami, zapłacił długi w stosunku po dziesięć za sto, schował pieniądze i niech mnie jasny piorun trzaśnie, jeśli tego samego nie zrobi tutaj z węglami.

Wszczęła się bardzo ożywiona dyskusya na temat żydowskiej przebiegłości i oszustw. Każdy miał coś do opowiedzenia na ten temat, nie wyjmując Romana.

— Wierz mi pan, albo nie wierz, — gestykulował żywo Remberski, — a ja powiadam panu, mości dzieju, że, chcesz pan dopłacić do swojej pracy i dostać parchów moralnych, to idź, mości dzieju, za radą Kanickiego do Lenfussa, a niech mię jasny piorun trzaśnie, wyjdziesz pan bez butów, o ile będziesz je miał.

— Remberski, czego tak wrzeszczysz? — przystąpił do stołu brunet łysawy z opuszczonym wąsem, z twarzą szczerą i smutną.

— Ależ, uważasz Marski, — odpowiedział zniechęconym głosem, — Kanicki bierze w protegę żyda, i niech mię jasny piorun trzaśnie, jeżeli wkrótce nie będziemy wszyscy sługami żydów.

Marski kazał sobie podać piwa, mitygując z uśmiechem:

— Nie irytuj się... tak źle nie będzie, — usiadł naprzeciw Remberskiego.

— Ty tego nie czujesz, mości dzieju, — gorączkował się, — bo u was w biurze rozpanoszyły się żydy, ale żeby taki Kanicki polecał porządnemu człowiekowi służbę u żyda i żyda protegował, tegom się nie spodziewał.

— Z tobą się nie dogadam, o co idzie? — zwrócił się Marski do reszty towarzystwa.

Wyjaśniono mu rzecz całą, a rozżalony Kanicki mówił:

— Gdyby tego Remberskiego, i o tej mojej protekcyi żyda słyszał koń dorożkarski, i tenby się roześmiał. Ja? ja żydów popieram? Jeszcze za grosz u nich nic nie kupiłem. A bodajeś w konia wlazł z tą niby moją protekcyą! — zapomniał na chwilę o swej powadze i rozjaśniła mu się twarz uśmiechem.

— Remberski ma racyę, — zadecydował surowo Marski, — niema co gadać, Lenfuss oszust, i nie radzę panu, — zwrócił się do Romana, — udawać się do niego.

— „Meinetwegen“ — odezwał się Milczak, — chcecie? niechże Lenfuss będzie oszust...

— Żadne: niech, — gorączkował się Remberski, — jeśli mówię tak, to tak, a nie, to cię zeszympfuję.

— To, później, — uśmiechnął się Milczak, — ale z naszej rady chleba nie będzie, „gitt's“? a idzie o wyszukanie posady.

— Czekajcie, — powiedział Marski, patrząc bacznie na Romana, — może coś znajdę. Stokłos, mój znajomy, urządza tu kinematograf; mówił mi, że potrzebuje pomocnika. Ile płaci, czego wymaga, nie dowiadywałem się, bo mnie nie interesuje. Może pan porozumie się z nim?

— Bardzo chętnie, — odrzekł Roman.

— To co innego, mości dzieju, jeśli Marski, mój ziomek, bośmy z jednej wsi, powie do pana — patrzał na Czajkowskiego — idź, to możesz pan nie żałować pedałów, i pogadać z człowiekiem, a nie z bydlęciem.

— To bogaty chłop, — odezwał się Milczak.

— Czy bogaty, — nie wiem, rzekł Marski, — ale grosz ma, zarobił, czy na terenach naftowych, czy na handlu świniami.

— Marski, a ten pieniądz nie śmierdzi? — spytał podejrzliwie Remberski.

— Chyba nie, uczciwy, znam jego żonę, dobra baba z kośćmi...

— Tylko babiszonów nie mieszaj, ostrzegał Remberski, — ale kiedy mówisz: uczciwy, to pewno tak jest. Machajże pan, — spojrzał na Romana, — czasu szkoda. A ty Marski, daj mu paszport i wypisz dokumentnie, o co idzie, bo poco ma psuć sobie gębę opowiadaniem.

Marski wyjął bilet i zaczął pisać.

— Tego Stokłosa, odezwał się Kanicki, — pamiętam z uniwerzytetu.

— — Słuchaj Kanicki, — skrzywił się Remberski, — wylecz się z tego germanizmu. Ciągle kłapiesz: uniwerzytet, awanzy, influenza, senzacya... a te szwaby rozmyślnie szympfują język francuski, wymawiają zamiast uczciwego s, szpetne z.

— Przepraszam cię, — mówił z zimną, odstraszającą grzecznością Kanicki, — że obraziłem twe delikatne, arystokratyczne, sfrancuziałe ucho, bo tylko twoje wielkie ucho chwyta te różnice.

— Gadasz „wie überhaupt ein Leutnant“, mości

dzieju, — uśmiechnął się Remberski, — tobie wolno każdego krytykować, ale ciebie dotknąć w niczem nie można. Czy ty nie miałeś żydowiny w rodzie, że jesteś tak obrażliwy.

— A bodajeś w konia wlazł! gdybym miał jedną żyłkę żydowską w sobie, wyprułbym i musiałbyś zjeść.

— Wiecie, ja mam służbę, muszę iść, — wstał Milczak.

— Czekaj, pójdziemy wszyscy, mości dzieju, niech tylko Marski skończy swój referat. Gotowe, — podał Marski bilet Romanowi, — może pan iść dziś lub jutro, wszystko jedno, bilet może się przydać, a czy będzie chleb z tej mąki, to do mnie nie należy.

— Dziękuję panu, — skłonił się Roman, chowając bilet.

— Jeszcze jedną piwonię, — i idziemy, — zaproponował Remberski.

— Niema czasu, — wstał Marski

— „Morgen ist auch ein Tag", — odezwał się Milczak, a jeśli pan otrzyma posadę, — płaci pan bombę.

— Bardzo chętnie.

— Dlaczego ma płacić? nachmurzył się Remberski, — żadna racya dopłacać do roboty. Idziemy.

Roman, nie tracąc istotnie czasu, udał się pod wskazany adres do Stokłosa, nie tyle z przekonania, że znajdzie posadę, jak raczej z poczucia obowiązku, ażeby niczego nie zaniedbać i nie mieć sobie nic do zarzucenia.

Tyle razy szedł pełen nadziei, że wreszcie otrzyma płatne miejsce, i zawsze się zawiódł. Rozmyślał z goryczą, że na nic przydała się protekcya wuja i osobiste jego starania się, wysłuchiwania nauk i przestróg ludzi, obiecujących mu pracę. Wspomniał radcę Kotyrskiego, dyrektora banku, chodzenie po sklepach, ogłaszanie w dzienniku. I zniechęcony powtarzał sobie na swe uspokojenie:

— Ostatni raz idę! — chociaż wiedział, że jeśli pokażą mu chociażby najsłabszą nadzieję otrzymania posady, znów pójdzie próbować.

Na pierwszem piętrze otworzyła mu służąca i wprowadziła do gabinetu, ładnie, jakkolwiek po hotelowemu umeblowanego.

Usiadł przy bocznym stoliku i wziął w rękę jedną z leżących tam gazet. Po przez lekko uchylone drzwi był słuchaczem mimowolnej rozmowy małżeńskiej.

— Maryś, idź ty sama, spytaj się czego chce, nie znam go.

— To może lepiej odprawić, boś chory, odezwał się kobiecy głos.

— Nie, może być przecie ważny interes.

— Najważniejszy, ażebyś ty był zdrów, — powiedziała troskliwie.

— Zrób to dla mnie i idź, — nalegał, spytaj się i przyjdź mi powiedzieć.

Roman posłyszał szelest sukni i po chwili stanęła we drzwiach, średnich lat niewiasta, z miłą, łagodną twarzą, a widząc gościa, spytała z lekkiem zmieszaniem:

— Pan do męża?... w interesie?

— Przychodzę z polecenia pana Marskiego — zaczął Roman i sięgnął po bilet.

— A od pana Marskiego? — rozjaśniła się, — proszę, siadaj pan, — zbliżyła się, — to nasz dobry przyjaciel, zna go pan? — usiadła na krześle.

— Zdaje się, że znam, skoro mam bilet, — zaśmiał się.

— A, prawda! — zaśmiała się głośno, — Dawno pan go widział?

— Przed chwilą.

— A, to pewnie na piwie z panem Remberskim i Kanickim. Podobno tam zawsze wesoło?

— Dosyć, i tam właśnie pan Marski dał mi bilet do męża pani.

— Niech pan chwilkę zaczeka — wstała — zaraz poproszę pana, bo mąż cierpiący, leży w łóżku.

— Mogę przyjść kiedyindziej — pospieszył Roman, — niema znów nic tak pilnego.

— O nie, jeśli od pana Marskiego, to musi być rzecz ważna, — wyszła z gabinetu.

Po pewnym czasie otworzyła drzwi i zaprosiła Romana:

— Proszę, niech pan wejdzie, a za nieporządki, jakie pan obaczy, przepraszam.

Wszedł do obszernego, jasnego pokoju z dwoma łóżkami. Na jednem z nich pod atłasową niebieską kołdrą, na śnieżnej białości poduszkach rysowała się pożółkła, dziwnie pomarszczona twarz blondyna około czterdziestu lat, z wąsami sumiastymi.

Wyciągnął do Romana rękę żylastą, chudą, ozdobioną pierścieniem, mówiąc:

— Przepraszam pana, że w łóżku przyjmuję, ale chory jestem. Siadaj pan proszę, może papierosa. Maryś, podaj.

— Dziękuję panu, — zapalił papierosa, — przychodzę tu od pana Marskiego, — podał bilet.

Stokłos szybko przeczytał, spojrzał raz i drugi raz na Romana i kładąc bilet na ubocznym stoliku, rzekł:

— Ten Marski zawsze w porę przyjdzie z pomocą. — uśmiechnął się, — i teraz właśnie, kiedy mi najbardziej potrzeba pomocnika w interesie, wyszukał pana... pan zna się na kinematografie?

— Nic a nic.

— To tak samo, jak i ja, — zaśmiał się, — ale bo też niewłaściwie postawiłem pytanie. Do kinematografu potrzeba maszynisty i filmy, a idzie o zarząd, o interes. Gdzie pan był? co pan robił?



— Prawda, i adresu nie dali i kazali panu zapłacić, to wyborne.

Roman w krótkich słowach opowiedział mu swoją przeszłość, a Stokłos zwrócił się do siedzącej żony:

— A co, Maryś? Marski wiedział, kogo mi przysłał? — i do Romana: — Trzeba mi pomocnika, zastępcy; ma pan jaką posadę?

— Żadnej.

— Hm... — potarł ręką nizkie, pomarszczone czoło, — tem lepiej dla interesu. Dam panu z chwilą otwarcia budy sto pięćdziesiąt koron miesięcznie i pięć procent od czystego zysku.

— Jak wysoki może on być? — spytał Roman.

— To zależy. Przeciętnie będziemy dawali osiem razy na tydzień przedstawienia, gdyż w niedzielę dwa razy. Sala obliczona jest na trzystu widzów, czyli przy pełnej sali będzie brutto około trzysta koron, czyli tygodniowo, jeśli dobrze pójdzie, dochód brutto dwa tysiące czterysta, a miesięcznie około dziewięciu tysięcy. A po potrąceniu amortyzacyi, czynszu, procentów i innych kosztów, według mego obliczenia zostawałoby na czysto jakieś trzy tysiące, czyli przy powodzeniu miałby pan drugie sto pięćdziesiąt koron. Czy pan przyjmuje?

— Naturalnie. Pańska propozycya jest bardzo dobra.

— A tak, o ile dostaniemy pozwolenie i potrafimy zachęcić publiczność do bywania w naszym kinematografie. Zatem zgoda? — podał mu rękę.

— Zgoda.

— Umowę spiszemy później, jak wyzdrowieję, ale liczę na pana, że nie zrobisz mi zawodu i staniesz do roboty. Zajęcia zbyt wiele nie będziesz pan miał. Trochę korespondencyi, prowadzenie ksiąg, ogólny dozór i obecność w czasie przedstawienia.

— Będę chętnie pracował, znudziło mi się przymusowe próżniactwo... a teraz co mam robić?

— Jak wspomniałem, pozwolenia jeszcze nie mam, ale złożyłem podanie w dyrekcyi policyi, będzie temu ze dwa tygodnie. Interesu trzeba przypilnować, pan to rozumie?

— Tak jest.

— Zatem w mojem imieniu i jako mój wspólnik, pójdziesz pan do policyi, dowiesz się, kto jest referentem i czy podanie moje zwrócono na właściwą drogę.

— Dobrze.

— Gdyby pan miał przy tem jakieś koszta, naturalnie zwrócę, a o rezultacie da mi pan znać.

— To w porządku — skinął głową Roman — postaram się rzecz załatwić.

— Uprzedzam pana — mówił Stokłos — niech się pan nie zraża przeszkodami, bo to u nas, panie, we wszystkich dykasteryach panuje wszechwładnie szlendryan austryacki, a nasi galicyjscy biurokraci przejęli się nim na wskróś. Czy pan tutejszy?

— Wspomniałem już, że jestem z Warszawy.

— O, to pan nie zna naszych panów urzędników i ich powolności. Opowiem panu fakt autentyczny. Mieszkałem wówczas na prowincyi i potrzebowałem adresu jednego ze znajomych w Krakowie. Piszę tedy kartę korespodencyjną do biura adresowego policyi... Maryś, daj nam wina, tru dno o suchej gębie gadać, ty znasz już tę historyę, — otóż, napisałem prosząc o adres. Czekam kilka dni, tydzień, dwa, już inną drogą wystarałem się o adres znajomego, załatwiłem z nim interes... i dopiero po pięciu tygodniach odpowiada mi policya, że adres tego pana jest nieznany, i żąda korony za brak stempla na mojej karcie korespodencyjnej. W ten sposób załatwia się biurokratycznie interesa, rozumiesz pan? — śmiał się.

— Prawda, i adresu nie dali i kazali panu zapłacić, to wyborne!

Żona wniosła wino, pili, a Stokłos zadowolony z nowego pomocnika, opowiadał zabawne anegdoty o biurokracyi.

— W razie, gdyby pan trafił na przeszkodę poważną, nie stawaj pan okoniem, — mówił Stokłos, — znajdzie się droga, postaram się o protekcyę, a ona prostuje u nas najbardziej karkołomne ścieżki.

— Pan kawaler? — spytała pani.

— Tak jest.

— Czy należy pan do klubu nieprzejednanych wrogów małżeństwa, jak Marski? — uśmiechnęła się.

— Tak dalece nie, i nie zarzekam się wcale.

— To bardzo dobrze. Jak się bliżej poznamy, muszę pana wyswatać. To wstyd, ażeby taki młody człowiek był bez żony.

— Swatać łatwo — uśmiechnął się Roman, — ale trafić na swoją, bardzo trudno.

— Masz pan słuszność, nie daj się pan — śmiał się Stokłos — moja żona ma pasyę swatania.

— Proszę pana, co w tem jest złego? — broniła się — każdy z was bez żony marnieje, lampartuje się, traci zdrowie i pieniądze, czy nie jest to obowiązkiem uczciwości zapobiegać temu?

— Niechże pani panny swata, nie nas, — zaśmiał się Romao.

— Ach, panie, trudno zmusić dziewczynę, kiedy chłopiec nie chce. Wpierw on, później ona, taki porządek.

Porozmawiawszy jeszcze chwilę, opuścił Roman Stokłosów, obiecawszy przyjść, skoro dowie się czegoś bliższego o kinematografie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Francusko-angielskie zbratanie.

Francya i Anglia zacieśniły znowu więzy swej przyjaźni. Polityczne zbliżenie obu tych mocarstw



Francusko-angielskie zbratanie: Pomnik angielskiej królowej Wiktoryi w Nicei.

zaznaczyło się dobitnie już przed rokiem, podczas zatargu marokkańskiego. Rywalizacya pomiędzy Francyą a Niemcami omal nie doprowadziła wówczas do zbrojnego starcia, lecz energiczna postawa Anglii, która stanęła po stronie Francyi, zmusiła Niemcy do ustępstw... Ten polityczny sukces Francyi i Anglii stał się niewątpliwie podwaliną zbratania obu narodów, które znalazło obecnie wyraz w uroczystościach na cześć królowej Wiktoryi i króla Edwarda VII. w Nicei i Cannes. Francuzi zbudowali tam dwa pomniki. W Cannes stanął pomnik króla Edwarda VII, zaś w Nicei pomnik królowej Wiktoryi. Zarówno królowa Wiktorya, jak i jej syn i następca na tronie angielskim, król Edward VII, byli częstymi gośćmi na Rivierze francuskiej, przyczyniając się tem samem do skierowania tam angielskiego ruchu turystycznego. Zwłaszcza król Edward zapisał się dobrze w pamięci Francuzów, gdyż on to w r. 1904 zapoczątkował zbliżenie obu państw. Częsty gość Paryża, gdzie spędził wiele wesołych chwil, uważany był przez Francuzów za „swego" i na Jasnym brzegu był jedną z najbardziej popularnych osobistości.

Odsłonięcia pomników dokonano bardzo uroczyście. Przybyli najwyżsi dygnitarze francuscy, między innymi prezes ministrów francuskich Poincarè, minister marynarki Delcasse, minister wojny Millerand. Prezes ministrów wygłosił przy odsłonięciu mowę o wybitnie politycznym podkładzie.

Na zaproszenie rządu francuskiego wysłał rząd angielski oficyalnego reprezentanta w osobie angielskiego ambasadora w Paryżu Bertiego. Również przybyła eskadra angielska, która w Nicei spotkała się z francuską eskadrą morza Śródziemnego.

Uroczystości trwały kilka dni, a zaznaczyły się wielką serdecznością i miały niewątpliwie ważne polityczne znaczenie, jako wymowny objaw zbratania francusko angielskiego.

Illustracye nasze przedstawiają oba pomniki.

Z wojny włosko-tureckiej.

Akcya pokojowa mocarstw, podejmowana już kilkakrotnie, nie odniosła dotychczas żadnego rezul-



Francusko-angielskie zbratanie: Pomnik króla Edwarda VII. w Cannes.

tatu. Nie pomogło również bezskuteczne bombardowanie Dardanellów i demonstracya na morzu Egejskiem. Turcy zamknęli cieśninę przy pomocy min podwodnych, co spowodowało tylko nowe zawikłania międzynarodowe, gdyż w ten sposób i okręty handlowe mocarstw zostały pozbawione możności przejazdu przez Dardanelle. Również bombardowanie wysp na morzu Egejskiem nie wywarło spodziewanego wrażenia na Turcyi, która nie chce i nie myśli rezygnować z swych praw do Trypolitanii i dotychczas skutecznie broni swych pozycyi w tym kraju.



Z wojny włosko-tureckiej: Kap. Mussa bey, dowódca garnizonu tureckiego przed koszarami w porcie Zuara, zbombardowanym przez Włochów.

Przyczynia się do tego nie tylko godne podziwu męstwo Arabów, ale i możność zaopatrzenia ich w broń i amunicyę, której Turcy, w chwili wybuchu wojny, posiadali w Trypolisie bardzo niewiele... Jak się jednak okazało, odcięta armia turecka już po wylądowaniu Włochów na wybrzeżu trypolitańskiem otrzymała znaczny zapas broni i amunicyi z sąsiedniego Tunisu. To umożliwiło właśnie nielicznym kadrom tureckim utworzenie dobrze zorganizowanej armii z bitnej ludności arabskiej. To też obecnie Włosi skierowali swe wysiłki w tym kierunku, aby udaremnić przemycanie do Trypolisu kontrabandy wojennej od strony Tunisu. W tym celu zajęli też w ostatnich dopiero czasach niewielki port Zuarę, położony na pograniczu Tunisu. Tam właśnie było ognisko kontrabandy wojennej, przeoczone dotychczas przez Włochów, zajętych umocnieniem swych pozycyi na wybrzeżach około głównych portów kraju. Trypolisu i Benghasi.

Illustracye nasze przedstawiają widoki ze zdobytej świeżo przez Włochów Zuary oraz wejście do cieśniny Dardanelskiej i wybuchy min podwodnych.

Domy z cementu.

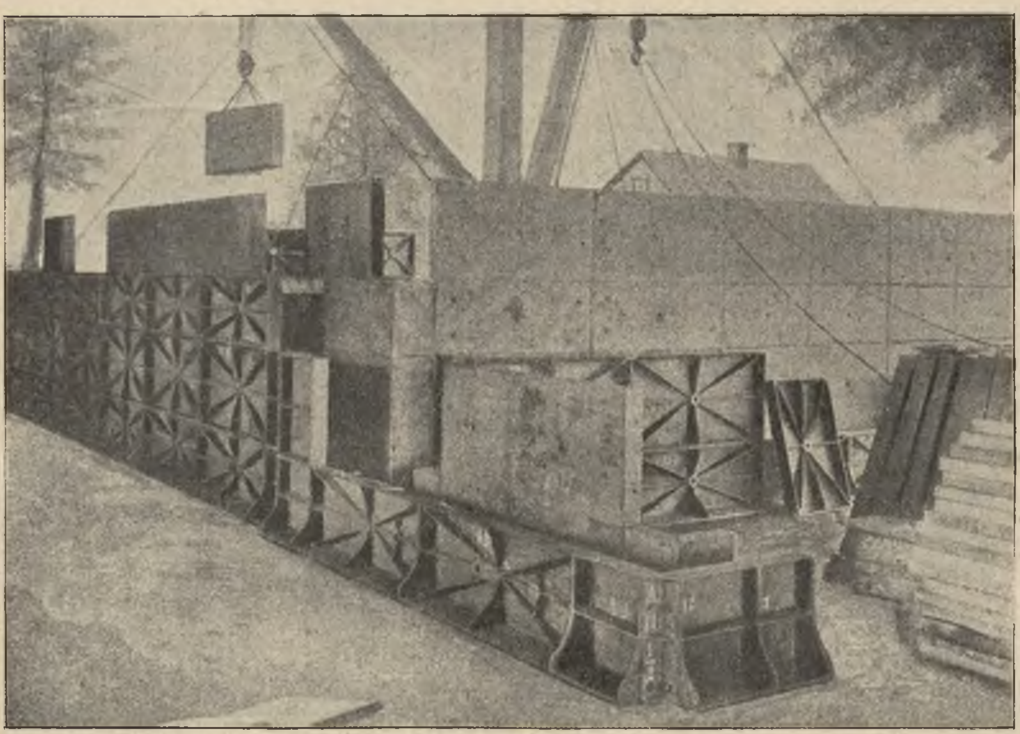
Walka z drożyzną mieszkań podsuwa ludziom różne pomysły, zmierzające do obniżenia kosztów budowy domów. Jedni starają się uzyskać taniość mieszkań przez to, że zawiązują stowarzyszenia budowy tanich domów i przy pomocy państwa i miast na gruntach tanio uzyskanych budują domy czynszowe. Inni znowu pragną osiągnąć cel na drodze wynalazków.

W tym kierunku osiągnął już poważe rezultaty genialny wynalazca Edison. Postanowił on budować domy z cementu, uważając, że cement jako tani materyał budowlany, mimo to trwały i odporny na ogień, najlepiej do tego się nadaje. W sąsiedztwie swego laboratoryum w New Jersey w Ameryce istotnie zbudował taki cementowy dom, który cały został odlany w jednym kawałku.

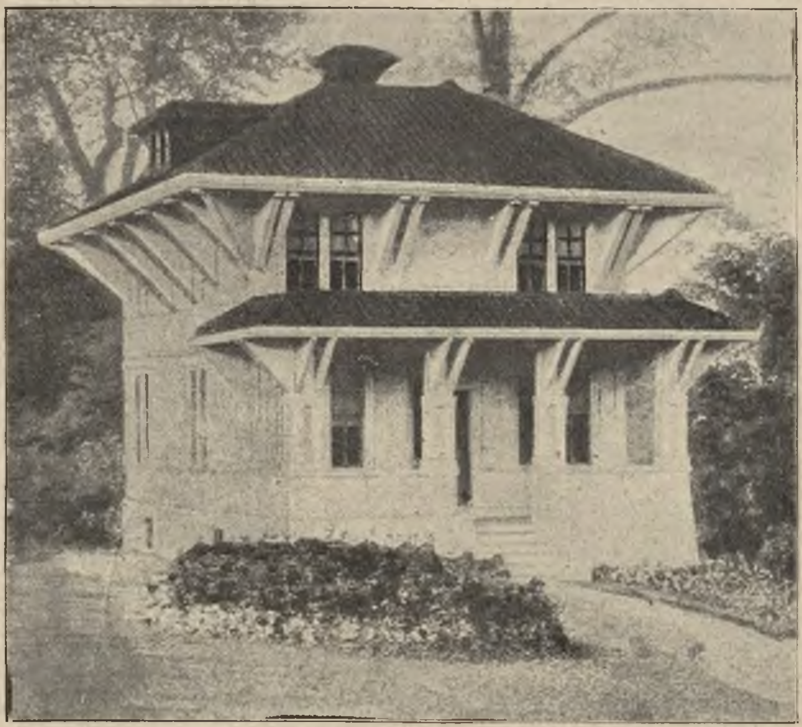
Koszt zrobienia domu cementowego jest tak mały, iż zdaniem Edisona każdy robotnik, zakupiwszy sobie kawałek pola, będzie mógł taki dom sobie wybudować. Jedynie tylko forma żelazna, potrzebna do odlewu, kosztuje znaczną sumę, wobec czego o tyle tylko się opłaci, o ile z jednej formy odlanych będzie więcej domów. Forma ta musi być bardzo dokładnie sporządzona. Za pomocą dźwigni zestawia ją się i następnie z rezerwoaru napełnia płynnym cementem. Napełnienie formy domu dla jednej rodziny, a więc składającego się z 2 pokoi, kuchni i przedpokoju trwa około 4 godziny. Zestawienie formy żelaznej trwa 4 dni, suszenie odlewu 6 dni, zaś rozebranie formy znowu 4 dni. Można więc w 14 tu dniach mieć zupełnie wykończony i suchy budynek.

Edison obliczył, że kapitał, potrzebny do budowy 200 takich domków, zamortyzuje się doskonale, jeśli wynajmujący opłacać będzie 8 dolarów miesięcznie czynszu, t. j. około 40 K. Wobec dzisiejszej drożyzny mieszkań znaczyłoby to obniżenie czynszu o 50%.

Wobec tego, że idea budowy domów z cementu wyszła już z fazy prób i osiągnęła realne rezultaty, powinny nasze towarzystwa budowy tanich mieszkań zainteresować się tą sprawą. Domy cementowe mają bowiem wiele zalet. Są bardzo trwałe, nie wymagają częstych naprawek, bezwzględnie zabezpieczone przed ogniem, a przedewszystkiem tanie.



Domy z cementu: Formy żelazne do odlewania domów cementowych.



Domy z cementu: Dom Edisona, odlany w całości z cementu.



Z wojny włosko-tureckiej: Siedziba władz tureckich w porcie Zuara po zbombardowaniu przez flotę włoską.

Illustracye nasze przedstawiają przygotowanie żelaznych form do budowy domu, oraz dom Edisona, odlany w jednym kawałku z cementu.



Znowu przesilenie węgierskie: Dr Lucacs, nowy prezydent gabinetu węgierskiego.



Wylewy w Ameryce: Uszkodzony przez powódź most na rzece Missisipi z odciętym od brzegów pociągiem.

Znowu przesilenie węgierskie.

Zatarg gabinetu hr. Khuen Hedervarego z rządem austryackim i pośrednio z cesarzem w sprawie nowej ustawy wojskowej, która stanowi przedmiot obrad sejmu węgierskiego i austryackiego parlamentu, skończył się dymisyą całego gabinetu hr. Khuena. Nie umiał on wybrnąć z trudnej sytuacyi, jaką sam stworzył, robiąc węgierskiej opozycyi sejmowej różne przyrzeczenia, których później dotrzymać nie mógł. Pozostawały więc dwie ewentualności: albo rozwiązać sejm węgierski, albo też podać się do dymisyi. Hr. Khuen nie miał odwagi rozwiązać Izby, gdyż byłby to krok w kraju bardzo niepopularny, wybrał więc drugą ewentualność.

Cesarz dymisyę hr. Khuen Hedervarego przyjął, a następcą jego został dotychczasowy minister skarbu Lucacs, który ciesząc się sympatyą w kołach opozycyi węgierskiej, jedynie na to stanowisko się nadawał. Nowy prezydent ministrów węgierskich urodził się w r. 1851. Jest on synem bogatego właściciela kopalń, który wychował go bardzo starannie. Ukończywszy wydział prawniczy, dr. Lucacs odbył studya finansowe w Niemczech, Francyi i Belgii, poczem w r. 1873 został profesorem akademii prawniczej w Raab. Kiedy w r. 1878 po śmierci ojca objął zarząd kopalń, równocześnie rozpoczął karyerę polityczną, zostając posłem sejmowym. W r. 1885. zrzekłszy się mandatu sejmowego, wstąpił do ministeryum skarbu. Wybitne zdolności dr. Lucacsa zwróciły nań uwagę ówczesnego ministra dr. Wekerlego i zapewniły mu szybki postęp w karyerze politycznej. W niedługim czasie już został sekretarzem stanu, a w r. 1895 objął po raz pierwszy tekę ministeryalną.

Dr. Lucacs ma bardzo trudne zadanie do spełnienia. Aby mógł spokojnie sprawować władzę, musi pogodzić się z partyą opozycyjną Kossutha



Dziesięciolecie chóru robotniczego: Grupa członków Chóru robotniczego we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



Pożegnanie urzędnika: Grupa funkcyonaryuszów urzędu podatkowego w Strzyżowie, biorących udział w pożegnaniu opuszczającego miasto kontrolora Stanisława Kościńskiego (X).

się w sali „Gwiazdy“ we Lwowie uroczysty poranek, na program którego złożyły się przemówienia, deklamacye i pieśni, wykonane przez robotniczą drużynę śpiewaczą. Uroczystość jubileuszową zakończył bankiet w salach stowarzyszenia drukarzy. Ilustracya nasza przedstawia grupę członków lwowskiego „Chóru robotniczego“.

Niezwykły jubileusz.

Galicyę nazwano, może i słusznie, choć złośliwie, krajem jubileuszów, gdyż korzystamy z każdej nadarzającej się sposobności, by czcić rzeczywiste lub urojone zasługi różnego rodzaju jubilatów. Wygłasza się przy tej sposobności uroczyste mowy i toasty, składa się życzenia, których gdyby się bodaj połowa spełniła, bylibyśmy najszczęśliwszem społeczeństwem pod słońcem.

Nic też dziwnego, że każdą wzmiankę dziennikarską o jakimś jubileuszu opuszcza się z zasady i przechodzi nad nią do porządku dziennego.

A jednak i między nimi zdarzają się obchody, które warte są zanotowania, a jednym z nich był bezsprzecznie niezwykły jubileusz majstra krawieckiego p. Józefa Strelki w Nowym Sączu, pracującego cicho a gorliwie w obranym zawodzie od lat pięćdziesięciu.

Wiadomo każdemu, że pomiędzy krawcem a jego klientami powstają często dyssonanse i to nieraz bardzo poważnej natury. To ubranie nie jest wykończone tak, jakby być powinno, to znów wydaje się zbyt drogiem, lub też nie dostarczono go na oznaczony termin. Klient się gniewa, krawiec się tłumaczy, obie strony są niezadowolone. Najbardziej jednak irytuje się odbiorca, gdy trzeba wyrównać rachunek. Wówczas przychodzi do przekonania, że instytucya krawców powinna być stanowczo zniesioną!

Są jednak majstrowie, którzy potrafili między sobą a swą klientelą wyrobić tego rodzaju *modus vivendi*, iż cieszą się zasłużoną sympatyą i uznaniem, a do nich słusznie należy p. Strelka.

Z okazyi pięćdziesięcioletniego jubileuszu zawodowej pracy skorzystali też jego miejscowi i zamiejscowi odbiorcy, między nimi i tacy, którzy w jego pracowni ubierają się od r. 1865 i rzetelną a uczciwą pracę uczcili wspólnem zebraniem w salach nowosądeckiego kasyna.

Do śniadania zasiadło dwadzieścia osób, między niemi sędziwy jubilat. Przemawiali nadradca p. Rajca, burmistrz dr. Barbacki, kupiec Fijałkowski, radca Ritter i prezes „Sokoła“ adwokat dr. Flis, podnosząc zasługi cichego pracownika, jego rzetelność, skromność i uprzejmość.

Wspólna fotografia zakończyła tę bądź co bądź niezwykłą uroczystość.

i Justha. Każda z tych grup ma jednak swe specyalne postulaty, które wzajemnie stoją w wielkiej sprzeczności. Mimo to dr. Lucacs nawiązał zaraz po objęciu władzy rokowania z obu partyami i już z grupą Kossutha doszedł do porozumienia. Natomiast grupa Justha nie godzi się na program rządu, przedstawiony przez dr. Lucacsa i ma zamiar podjąć na nowo w Sejmie obstrukcyę. Groziłoby to nieuchronnie rozwiązaniem Sejmu.

Illustracya nasza przedstawia nowego kierownika rządu węgierskiego, ministra dr. Lucacsa.

Dziesięciolecie chóru robotniczego.

Jedną z najszlachetniejszych rozrywek jest niewątpliwie śpiew i muzyka. Każdy człowiek tęskni za pięknem, za wrażeniami estetycznemi, które uszlachetniają duszę i odrywają od kłopotów, trosk i walk codziennego życia, a pielęgnowanie tych idealnych porywów ma bardzo ważne społeczne znaczenie.

Misyę tę spełniają niewątpliwie organizacye śpiewacze, które szerząc zamiłowanie do pieśni, jednoczą szerokie koła pod znakiem piękna i szlachetnej rozrywki...

Z zadowoleniem należy też konstatować każdy objaw, świadczący o pomyślnym rozwoju tych kulturalnych stowarzyszeń. Jedno z nich — lwowski „Chór robotniczy“ obchodził właśnie w tych dniach dziesięciolecie swego istnienia. Z okazyi tej odbył



Niezwykły jubileusz: Majster krawiecki p. Józef Strelka z Nowego Sącza w otoczeniu swych najstarszych klientów. (Fot. I. Zacharski, Nowy Sącz).



Nowa organizacya zawodowa: Grupa członków świeżo zawiązanego we Lwowie Stowarzyszenia nauczycieli tańców.

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

5) Tłum. z francuskiego.

— Pijak! — dodał z wściekłością prefekt, chwytając gwałtownie za ramię śpiącego. Ramię opadło bezwładnie. Wówczas pan Ducroe potrząsnął nim z całej siły, wrzeszcząc do ucha:

— Zbudzisz się łajdaku!?

Śpiący mruknął coś gniewnie i odwróciwszy się — chrapał dalej z całym spokojem.

— Tego zanadto! — krzyknął szef bezpieczeństwa, tracąc resztki cierpliwości. Poczekajno szelmo! I uszczypnął go do krwi.

Śpiący zrobił ruch, jak gdyby odpędzał dokuczliwą muchę, przeciągnął się, ziewnął przeraźliwie i otwierając błędne, pijane oczy, zamamrotał:

— No... dajcie mi spać... chcę spać... spać...

I znowu opadł na fotel.

— Spity jak bela, łajdak! Nic z niego nie wyciągniemy — zawołał prefekt.

— Spity! Jacquet spity! — krzyknęli ajenci w osłupieniu. — Jacquet! który nigdy nic nie pił!...

— Do dyabła! — odparł kwaśno Ducroe — to chyba jasne.

Pariset i Prieur spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

— Ostatecznie — ciągnął szef — on jeden mógłby nam dać jakieś wyjaśnienia, a spi jak zabity.

— Zostawmy go tu i przeszukajmy dom — wtrącił nieśmiało Pariset.

— Nic nie znajdziemy — będzie tak jak i wtedy — odparł Pieur, który był świadkiem pierwszej rewizyi po zniknięciu barona.

— Skąd pan wiesz? — zapytał surowo prefekt. I dodał rozkazująco: — Zabierzcie lampę i chodźmy.

Przejrzeli szybko cały dom i nie znaleźli nic, żadnego śladu — nic nie świadczyło tu o walce lub szamotaniu się. Zdawało się, że Staub i książę znikli sami, z dobrej woli.

— Dziwne! Niepojęte! — mruczał prefekt zaciskając z coraz większą wściekłością pięści.

Zajrzeli do piwnicy. Otworzono ją z trudnością przy pomocy silnej dłoni Pariseta.

— Zupełnie jak wtedy — zauważył Prieur.

W piwnicy nic nie znaleziono. Pozostawał ogródek, położony z tyłu domu. Drzwi wiodące doń były otwarte, jak gdyby umyślnie chciano wskazać drogę policyi. Wszyscy trzej wyszli do ogródka.

I rzeczywiście — prefekt, nachyliwszy się — zobaczył liczne ślady, między którymi poznał odrazu olbrzymie odciski stóp rudego mężczyzny i delikatny ślad kobiety o zielonych oczach. Obok widać było jeszcze ślady dwu rodzai; stopy mężczyzny średniego wzrostu i szerokiej podeszwy amerykańskiego trzewika.

Czyżby to były ślady Stauba i księcia? Wydawało się to niemożliwością. Wszystkie te ślady prowadziły do położonego w głębi ogródka muru, o który oparta była niewielka drabinka.

Tuż obok muru prefekt ujrzał wśród liści zwiędłych begonii coś błyszczącego. Schylił się szybko i podniósł mały elegancki portfel z rosyjskiej skóry ze srebrną skówką, na której wyryty był monogram „B. H“. Drżącą ręką otworzył portfel — znalazł wewnątrz tylko kilka kart wizytowych z nazwiskiem: „Prinz von Burg Hausen“.

— Coraz lepiej! Coraz lepiej! — mruknął do siebie. — Więc książę przeszedł tędy z dobrej woli? Niemożliwe!

I dodał, zwracając się do ajentów.

— Zgaście lampę i chodźcie za mną — tylko jak najciszej.

Ostrożnie przeszli przez mur i znaleźli się w ogrodzie Niemca Leymanna. Odnaleźli tu te same ślady, które doprowadziły ich wprost do przejścia między pawilonem i granicznym murem. Dalej ślady szły do furtki wejściowej — przybywszy tam, prefekt ujrzał leżący na ziemi biały przedmiot. Była to karta wizytowa, nazwiska nie mógł odczytać z powodu ciemności.

Powrócił więc do przejścia, gdzie mógł bez obawy ściągnięcia czyjejś uwagi zaświecić zapałkę.

Tu, przy chwiejącem się światełku, podniósł kartę do oczu. — Ale zaledwie spojrzał na nią — wyrwało mu się z ust przekleństwo.

Była to karta inspektora Stauba!

— Jakto! — krzyknął, chwytając się za głowę. — Jakto? I Staub także! O! zapłacicie mi za to!...

Jeszcze nie skończył mówić, gdy usłyszał turkot automobilu, zatrzymującego się przed bramą ogrodu.

— O! O! — mruknął — to zaczyna być zajmujące... Cóż to być może?...

I chwyciwszy za ręce swych towarzyszy — stał bez ruchu, powstrzymując oddech — z wyciągniętą głową i nadstawionem uchem.

Z automobilu wyskoczył mężczyzna i rozmawiał półgłosem, z wyraźnym niemieckim akcentem — z kimś, kogo nie można było dojrzeć.

— A więc — zapytał mężczyzna — pani przypuszcza, że niema obawy, żeby odkryli...

— Jestem tego pewna, drogi panie Leymann — odpowiedział z powozu głos kobiety. — Będzie tak, jak i wtedy. Policya przyjdzie za późno. Ta znakomita policya francuska!...

Ostatnim słowom towarzyszył wybuch wesołego, młodego śmiechu i automobil odjechał.

— A! — rzekł do siebie Ducroe z cichą złością — zawsze go podejrzywałem. Inaczej być nie może. Ten Leymann, pomimo doskonałych rekomendacyi, pomimo świadectwa samego Stauba — brał udział w porwaniu barona. Ale tym razem nie udało mu się...

Mrucząc tak do siebie, naczelnik policyi wyszedł bez szelestu ze swego ukrycia i podszedł do Leymanna w chwili, gdy ten wkładał klucz do drzwi swego mieszkania.

— Dobry wieczór, panie Leymann! — krzyknął mu nad uchem. Niemiec odskoczył i pozostał przez parę sekund bez ruchu, oniemiały ze zdumienia.

Ducroe powtórzył drwiąco:

— Mówię panu dobry wieczór, panie Leymann!

Tamten ochłonął nieco i rzekł nie bez zakłopotania:

— A! co za dziwny żart? Kto pan jesteś?

— Szef bezpieczeństwa.

— Policya! — mruknął Leymann przygnębiony.

— A! A! — zawołał Ducroe z tryumfem — złapałem pana! Coż pan na to powie? Hę? No, mówże pan!

— Nic nie powiem! — odparł Niemiec z dzikim uporem.

— Jak się panu podoba — zresztą teraz wiem już wszystko. Pańska odmowa zeznań jest tylko okolicznością obciążającą! Przytem przed chwilą słyszałem pańską rozmowę z tą piękną damą w automobilu.

Leymann zadrżał i potarł w milczeniu ręce.

— Tymczasem, aresztuję pana. Pojedzie pan ze mną do prefektury, a tam znajdzie się sposób na rozwiązanie panu języka.

I zwracając się do ajentów, którzy zbliżyli się — dodał:

— Przytrzymajcie tego ptaszka!

Niemiec szarpał się gwałtownie, chcąc wyrwać się ajentom, trzymającym go za ręce. Podczas szamotania się — z kieszeni wypadł mu jakiś przedmiot. Ducroe schylił się błyskawicznie i pochwycił go. Był to notes używany, ściągnięty gumką. Ducroe poznał go na pierwszy rzut oka — był to notes Stauba.

— I teraz jeszcze będziesz pan dowodził — rzekł drwiąco prefekt podsuwając notes pod nos Niemcowi — że nie wie pan, co się stało ze Staubem i księciem?

— Ze Staubem i księciem? — powtórzył Leymann w najwyższem zdumieniu.

— No tak — a może ten notes należy do pana?

— Podniosłem go przed chwilą na chodniku, obok bramy — oznajmił żywo Niemiec.

— Mów pan to komu innemu, mój panie — odparł Ducroe, wzruszając ramionami. — No — dalej... w drogę, nie mam ochoty spędzić tu nocy.

— Muszę przecież uprzedzić żonę! — zaprotestował Leymann, szarpiąc się z ajentami.

— Właśnie! Żeby wymyślić razem jakąś historyę dowcipną! Znamy się na tem! Nie — ja sam zawiadomię ją jutro rano i pozwolę sobie wybadać ją przy tej sposobności.

— A więc dobrze — odparł aresztowany z udanym spokojem. — Jestem w pana mocy, ale uprzedzam, że się na tem nie skończy!

— Mam nadzieję — odpowiedział Ducroe ze złośliwym uśmiechem.

— Poskarżę się swemu konsulowi — ciągnął Leymann groźnym tonem, marszcząc swe gęste rude brwi.

— A! skarż się pan nawet papieżowi, jeżeli to panu zrobi przyjemność — mruknął prefekt, zniecierpliwiony. Dalej, w drogę!

ROZDZIAŁ XIII.

Bal jubilerów.

Bal jubilerów należał do najwspanialszych w sezonie. Obszerne sale hotelu Continental, rzęsiście oświetlone, zgromadziły wszystkich przedstawicieli tego fachu, z najsławniejszymi, jak Barbesse, Bridgeton, Morgenstern, Lacapelle-Marival na czele. Zresztą byli tu wszyscy właściciele wspaniałych sklepów z ulicy Royale, de la Paix i Palais Royal. Barwny tłum poruszał się wesoło w oślepiającym blasku lamp elektrycznych, odbijających tysiącami kolorów w przepysznych klejnotach żon, córek i znajomych jubilerów.

W pewnej chwili, właśnie gdy skrzypce orkiestry kończyły pianissimo walca, przy wejściu do wielkiej sali balowej można było zauważyć poruszenie, zwiastujące przybycie jakiejś znakomitości.

Był to doktor Vanesco. Przyjmowany bardzo chętnie we wszystkich sferach paryskiego świata, Aleksander Vanesco musiał być i na tym balu, nie chcąc obrażać kilkunastu osób, które nadesłały mu zaproszenia. Zresztą w sferze tej miał najbogatszych klientów. Jak zawsze, ukazanie się jego budziło sensacyę.

Ze stereotypowym uśmieszkiem na ustach doktor posuwał się powoli, ściskając wyciągnięte dłonie. Zatrzymał się na chwilę, żeby złożyć ukłon młodej i pięknej pani Barthès, która przechodziła, wsparta na ramieniu Bridgetona, bogatego jubilera z ulicy Royale.

Był to młody człowiek, około trzydziestu lat, o wygolonej, delikatnej twarzy, wzbudzającej sympatyę otwartem spojrzeniem niebieskich oczu i miłym uśmiechem.

— A! doktor! Jednakże pan przyszedł? — zawołała, wdzięcząc się, pani Barthès, podczas gdy Vanesco schylił się dla ucałowania jej ręki.

— Jakto „jednakże“? — zapytał, prostując się.

— No, w każdym razie późno pan przychodzi.

— O! późno... — odparł Vanesco, spoglądając na zegarek — dopiero jedenasta... W każdym razie pozwoli mi pani przyłączyć się do tłumu swych wielbicieli.

I rzucił okiem w stronę Bridgetona, który był bardzo roztargniony i zdawał się szukać kogoś na sali.

— Zostaw pan Bridgetona w spokoju — odpowiedziała pani Barthès. — Widzi pan przecie, że dziś myśli jego są na księżycu...

I wybuchnęła wesołym śmiechem, ukazując szereg zębów, równych i białych jak perły, wystawione w witrynie jej męża.

— Na księżycu? — zapytał Anglik, z trudnością usiłując wziąć udział w rozmowie, podczas gdy myśli jego bujały daleko.

— Naturalnie, mój drogi, przecież to widać odrazu. I uderzając wachlarzem po ręku doktora, który patrzył w kierunku wzroku Bridgetona, poczęła iść w stronę bocznej salki,

— Muszę to panu opowiedzieć, doktorze, inaczej nie zrozumie pan zachowania się mego towarzysza — mówiła po drodze. — Otóż Bridgeton został olśniony, oszołomiony i od jednego spojrzenia zakochał się na zabój. Tak jest zawsze z tymi Anglikami. Rzadko się kochają, ale jeżeli przytrafi się im coś podobnego, tracą głowę. Ale, zdaje mi się, że pan mnie nie słucha.

— Przeciwnie... — rzekł Vanesco, ogłuszony potokiem słów młodej kobiety.

— Niech się pan lepiej przyzna... Zresztą wytłómaczę panu zaraz obszerniej. Niech mi pan poda rękę. Zwracam panu wolność, panie Bridgeton, sądzę, że nie będzie się pan bardzo gniewał.

Anglik nie dał sobie powtórzyć tego dwa razy i skłoniwszy się głęboko, pospiesznie odszedł.

Pani Barthès weszła z doktorem do małego saloniku, gdzie w tej chwili nikogo nie było, usiadła na kanapce pod wspaniałą palmą i ciągnęła przerwane wyjaśnienia.

— Czy wie pan, kto na dzisiejszym balu najbardziej zajmuje wszystkich?

Doktor zaprzeczył ruchem.

— A więc, niech pan sobie wyobrazi, prześliczna osóbka! I nikt nie wie, kto to i skąd przybywa, nikt z nas nigdy jej nie widział... spadła nam jak z nieba... Mimo to jest czarująca i wcale nie dziwię się, że wszystkim odrazu zawróciła głowy.

Vanesco patrzył na młodą kobietę z zaciekawieniem.

— Może pan ją zna?

— Musiałbym ją zobaczyć, a przecież dopiero co przyszedłem.

— Pokażę ją panu, a pan, znając wszystkich w Paryżu...

— O! wszystkich! — rzekł skromnie doktor.

— Ależ tak! tak! wszystkich! A! właśnie zaczynają walca, do którego mnie pan zaprosił.

Rzeczywiście rozległy się pierwsze tony nowego walca.

— Chodźmy! — rzekła, wstając pospiesznie i podając rękę lekarzowi.

ROZDZIAŁ XIV.

Piękna Amerykanka.

Kiedy pani Barthès weszła do sali z doktorem, mnóstwo par krążyło już przy zawrotnej, upajającej muzyce walca. Doktor skłonił się, ujął wpół swą damę i rozpoczął taniec. Nie obiegli jednak jeszcze połowy sali, gdy musieli gwałtownie zwolnić tempo, by przepuścić jakąś parę, która o mało na nich nie wpadła. W tej chwili Vanesco poczuł, że jego dama lekko drgnęła, uścisnęła mu rękę znacząco, szepcząc do ucha:

— To ona!

Doktor zwrócił głowę, by przyjrzeć się lepiej tej, którą wskazywała mu jego tancerka. Ale para oddaliła się szybko, trzeba było pospieszyć się, by nie stracić tempa.

Kiedy okrążyli kilka razy salę, trzymając się w pobliżu pięknej nieznajomej, pani Barthès, przypuszczając, że doktor przyjrzał się jej dobrze, zapytała półgłosem:

— No i cóż?

— Nie znam jej — odparł krótko doktor.

— A! — rzekła, bardzo zawiedziona... — Tak jak wszyscy... nikt jej nie zna.

Poczem dodała, nie chcąc być zwyciężoną:

— Cudzoziemka — napewno... Angielka, albo Amerykanka... Tak, raczej Amerykanka.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Typ wskazuje mi to. Założyłabym się, że jest Amerykanką! Tylko Amerykanka potrafi być tak elegancką i tak dobrze ubraną — Angielkom zupełnie brak tego.

— Zdaje mi się, że pani ma słuszność — zgodził się Vanesco...

— Czy mam słuszność? — rzekła młoda kobieta, uśmiechając się zwycięzko... — Drogi doktorze, w tych rzeczach kieruję się, że tak powiem, instynktem, który mnie nigdy nie zawodzi. Zresztą, zaraz się przekonamy...

Ale w tej chwili dźwięki walca zamilkły.

— Chodźmy po wyjaśnienia — rzekła pospiesznie pani Barthès, pociągając za sobą doktora.

Nie potrzebowali iść daleko.

Spotkali Bridgetona, radosnego, rozpromienionego. Pani Barthès chwyciła go bez ceremonii za rękę.

— Gdzie pan tak pędzi?

Zdawało się, że Anglik miał ochotę zemknąć, ale dobre wychowanie nie pozwoliło mu na to.

— Ależ pani... — rzekł, uśmiechając się z wysiłkiem.

— Domyślam się — rzekła pani Barthès z chytrym uśmieszkiem, — że pan już musi coś wiedzieć o pięknej nieznajomej, która pana olśniła...

— Która mnie olśniła?! — zawołał Anglik ze śmiechem... — Istotnie... pani ma dziwny sposób wyrażania się...

— Ale trafny sposób, nieprawdaż?

Jubiler zaczerwienił się, jak młoda panna.

— Ostatecznie — ciągnęła młoda kobieta nielitościwie — czy pan wie cokolwiek? „Jak się nazywa, skąd przybywa“? — jak to śpiewają w operze!

— Właśnie przed paru minutami dowiedziałem się od pani Morgenstern, której piękna nieznajoma jest klientką.

— No — więc, więc? — zawołała żywo pani Barthès.

— Więc... jest Amerykanką.

— A co panu mówiłam, doktorze!

— Nazywa się — ciągnął Bridgeton — Ellen Terrys, jest sierotą, przyjechała do Paryża ze swą ciotką, starszą kobietą, podobno bardzo bogatą. Mieszka w hotelu Regina... Oto wszystko, co wiem.

I dodał, kłaniając się.

— Teraz — jeśli mi pani łaskawie pozwoli — pójdę poszukać pani Morgenstern, która obiecała przedstawić mnie tym paniom.

Pani Barthès skinęła głową, a Bridgeton oddalił się i po chwili znikł w jednym z sąsiednich salonów.

Zastał tam trzy panie siedzące na kanapie i zajęte ożywioną rozmową. Jedna z nich, wysoka i tęga, siwa, mająca około pięćdziesięciu lat, przerwała rozmowę i zawołała w taki sposób, jakgdyby Bridgeton wszedł tu wypadkiem.

— Ach! oto młody człowiek, który pragnie być przedstawionym paniom. Proszę, niech się pan zbliży. Panie pozwolą?

Obie panie skinęły głową i pani Morgenstern przedstawiła:

— Pan Bridgeton... Miss Warrington... Mrs Ellen Terrys. Pan Bridgeton jest prawie rodakiem pań.

— Pan jest Anglikiem? — zapytała Ellen z zachęcającym uśmiechem.

— Raczej chyba Paryżaninem, gdyż od dziecka tu mieszkam, tu się wychowywałem i teraz prowadzę filię naszego londyńskiego interesu...

— My jesteśmy Amerykankami — odparła Miss Terrys, patrząc na młodego człowieka.

Była kobietą rzadkiej piękności. Jak wiele Amerykanek, posiadała cudownie świeżą cerę. Wspaniałe jasne blond włosy stanowiły oryginalny kontrast z oczami koloru morskiej wody. Oczy zresztą zmieniały wciąż barwę. Chwilami, gdy wpatrywała się w młodego człowieka, w oczach tych migotał dziwny ognik, który gasł natychmiast, ale który mógłby zastanowić uważniejszego obserwatora.



— Niech mi pan poda rękę.

Ubrana była z wytworną elegancyą.

Siedząca obok Miss Warrington, osoba nizka i otyła, nie brała prawie udziału w rozmowie, zadowalając się potakującem kiwaniem głowy.

— Urodziłam się w Ameryce — ciągnęła piękna kobieta — i tam wychowywałam się po śmierci rodziców, pod kierunkiem kochanej cioci, która była mi drugą matką.

Otyłe oblicze starej damy rozjaśnił uśmiech, pełen głębokiej czułości.

— Przyjechałyśmy do Paryża w zeszłym tygodniu. Pierwszą rzeczą po przybyciu do waszej pięknej stolicy było złożenie wizyty państwu Morgenstern, których wskazał nam jeden z przyjaciół w Nowym Jorku. Przyjęli nas z otwartemi rękami i ofiarowali swe stosunki i znajomości paryskie. Im właśnie zawdzięczamy zaproszenie na bal dzisiejszy.

Dalej opowiadała Miss Ellen o swych wrażeniach, gdy nagle do saloniku poczęli zaglądać młodzi ludzie, szukający swych tancerek. Jeden z nich zatrzymał się przed Bridgetonem i skłoniwszy się, zapytał grzecznie:

— Pan pozwoli?

Anglik, maskując niechęć uśmiechem, skłonił się z elegancyą i młody człowiek wyszedł z panią Terrys do sali balowej.

Bridgeton nie prosił nikogo do tego tańca, zresztą nie miał wcale ochoty po temu, pragnął pozostać ze starą damą i zadać jej pewne pytanie.

Kobietę, która go oczarowała, tytułowano „panią“, była więc mężatką, lub wdową. O to właśnie chciał zapytać Anglik.

Stara dama pierwsza rozpoczęła rozmowę i wkrótce poczęła się zwierzać. Bridgeton dowiedział się, że istniał „mąż“, ale jaki mąż? Gbur, pijak, hulaka. Biedna kobieta żyła w prawdziwem piekle. Po opisaniu wszystkich nieszczęść, jakie przeszła jej siostrzenica, Miss Warrington oznajmiła wreszcie, iż rozpoczęto już prowadzić proces rozwodowy i że dlatego właśnie przybyły do Europy, gdyż mąż odgrażał się, że zabije Mrs Ellen, jeżeli otrzyma rozwód.

Wreszcie stara dama położyła palec na ustach i rzekła szeptem:

— Mówmy o czem innem... I tak już za dużo powiedziałam. Ellen mogłaby usłyszeć, a toby jej sprawiło przykrość.

Prawie w tej chwili weszła do saloniku młoda kobieta, zarumieniona i ożywiona tańcem.

— Czy pozwoli mi pani — rzekł Bridgeton lekko drżącym głosem — zaprosić się do następnego walca?

— To już ostatni taniec, zdaje mi się — odrzekła, zaglądając do karnecika.

— Tak — odparł — i tem większą to będzie dla mnie łaską.

— Nie wiem doprawdy... — zaczęła, jakby drożąc się i pragnąc utrzymać młodego człowieka w niepewności. Wreszcie rzekła prawie uroczystym głosem:

— Dobrze, zgadzam się.

— Dziękuję pani! — odparł poważnie Anglik.

W kilkanaście minut później Bridgeton oszołomiony, olśniony, zapominając o całym świecie sunął po sali w takt walca z czarującą kobietą.

W pewnej chwili z grupy mężczyzn, przyglądających się tańczącym — odezwał się wesoły, lekko ironiczny głos:

— Dobrze jest być młodym! Spojrzyjcie na Bridgetona... — Mówił to doktor Vanesco.

Wreszcie bal skończył się. Bridgeton, żegnając się, zapytał z głębokim ukłonem:

— Czy panie pozwolą mi złożyć sobie wizytę?

— Ależ naturalnie, naturalnie — odparła pospiesznie Miss Warrington. — Będzie nam bardzo miło. Mieszkamy w hotelu Regina. Niech pan zajdzie którego popołudnia na herbatę. O piątej zawsze jesteśmy w domu.

Siostrzenica poparła zaproszenie ciotki spojrzeniem, które wydawało się Anglikowi obiecującem.

ROZDZIAŁ XV.

Hypnoza.

Laboratoryum doktora Aleksandra Vanesco w domu dla ubogich przy bulwarze Świętego Jakóba.

Wszystkie okna szczelnie zasłonięte nie przepuszczają światła dziennego. Obszerny pokój oświetla olbrzymia lampa łukowa. Na dwóch długich stołach pod ścianami stoją aparaty elektryczne z dziwnie poskręcanymi drutami i leżą rozrzucone kartki rękopisu, na którego okładce wielkiemi literami czerwonym atramentem wypisano te słowa:

„Praca mózgu. — Mechanizm myśli“.

Pośrodku pokoju na stole operacyjnym leżał rozciągnięty człowiek około pięćdziesięciu lat w bluzie robotnika. Obok na ziemi leżała czapka woźnicy. Człowiek ten z przerażeniem patrzył na doktora Vanesco, który stał przed nim, okryty białym fartuchem, sięgającym do ziemi.

— Niech pan patrzy tutaj — mówił doktor — i niech pan wytrzeszcza oczy, ile pan tylko może.

Pokazywał rodzaj kolumny, wysokości człowieka. Na kolumnie tej błyszczał guzik metalowy, umieszczony w środku reflektora, zwróconego w stronę woźnicy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poświęcenie ogrodów robotniczych we Lwowie.

W miarę wzrastającego zainteresowania się społeczeństwa sprawami społecznemi, powstają coraz to nowe sposoby zaspakajania potrzeb klas pracujących. Kraje, które pod względem rozwiązania



Poświęcenie ogrodów robotniczych we Lwowie: J. E. arcybiskup Bilczewski dopełnia aktu poświęcenia.



Poświęcenie ogrodów robotniczych we Lwowie: Uczestnicy uroczystości podczas przemówienia p. prezydentowej Neumanowej. W pośrodku siedzą ks. arcybiskup Bilczewski i p. namiestnikowa Bobrzyńska.

kwestyi robotniczej dalej postąpiły, niż nasz, dają nam pod tym względem doskonały przykład.

Pomiędzy wielu sposobami przychodzenia z pomocą klasie pracującej, uznano, najpierw w Anglii, potem we Francyi i Niemczech, za bardzo pożyteczne tworzenie t. zw. ogrodów robotniczych.

Są to kawałki ziemi ornej, które wydzierżawiają instytucye społeczne rodzinom robotniczym, aby te same je uprawiały.

Pierwsze ogrody robotnicze założono u nas w Warszawie. Za przykładem Warszawy poszedł obecnie i Lwów, gdzie przed kilku dniami, dzięki staraniom „Związku niewiast katolickich" i ofiarności gminy otwarto pierwsze takie ogrody. Pole przeznaczone pod uprawę mieści się u wylotu ulicy 29 listopada.

Na uroczystość poświęcenia ogrodów robotniczych przybyło grono wybitnych osobistości z panią namiestnikową Bobrzyńską i ks. arcybiskupem Bilczewskim na czele.

Oddania ogrodów do użytku dopełniła w pięknem przemówieniu prezydentowa Neumanowa, poczem ks. arcybiskup Bilczewski w asystencyi superiora OO Jezuitów, ks. Sopucha, poświęcił pole, a w przemówieniu swojem życzył, aby dzieło to przyniosło pożytek klasie robotniczej.

Pożegnanie urzędnika.

(Do illustracyi na str. 10).

Łatwo jest cieszyć się sympatyą w życiu towarzyskiem i wśród zabawy. O wiele trudnej zaskarbić sobie życzliwość i uznanie towarzyszów pracy, przy spełnianiu ciężkich nieraz i przykrych obowiązków zawodowych lub służbowych. Nie ulega jednak wątpliwości, że serdeczny, oparty na wzajemnej życzliwości stosunek ludzi, związanych wspólną pracą, jest objawem nie tylko sympatycznym, ale niezmiernie pożytecznym dla należytego funkcyonowania instytucyi i urzędów. To też każdy fakt, świadczący o harmonii wzajemnej i życzliwości wśród towarzyszów pracy, zasługuje na zaznaczenie. Jednym z takich faktów była niewątpliwie cicha, lecz serdeczna uroczystość w gronie funkcyonaryuszów urzędu podatkowego w Strzyżowie. Żegnali oni w uroczysty sposób jednego ze swych współpracowników, opuszczającego Strzyżów kontrolora podatkowego Stanisława Kościńskiego, który swą sumienną pracą i koleżeńskiem, serdecznem postepowaniem zjednał sobie ogólny szacunek i sympatyę.

Uroczystość pożegnalna zakończyła się wspólną pamiątkową fotografią, którą zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Walka z bandytami w Paryżu: Wynoszenie zwłok szefa policyi Jouina, zamordowanego przez herszta bandytów Bonnota.



Walka z bandytami w Paryżu: Policya prowadzi anarchistę Gouzy'ego, ujętego w kryjówce herszta bandytów automobilowych, Bonnota.

Walka z bandytami w Paryżu.

Sensacyjne napady automobilowe, urządzane przez apaszów paryskich pozostających pod wodzą dwóch bandytów Bonnota i Garniera wywołały ogromne wzburzenie w całej Francyi. Policya paryska pod naciskiem opinii publicznej rozpoczęła gwałtowny pościg za apaszami. Aresztowano ich też kilkunastu, ale głównych przywódców nie można było wytropić!

W ubiegłą środę, zastępca szefa bezpieczeństwa Jouin i starszy inspektor policyi Colmar udali się do Petit Jory, aby przeprowadzić rewizyę w domu i sklepie braci Gouzy, o których przypuszczano, że stoją w stosunkach z Bonnotem. Istotnie obu braci aresztowano na dole w sklepie, a Jouin i Colmar, pozostawiwszy ich pod strażą dwóch inspektorów policyi, udali się na I. piętro do mieszkania braci, aby tam przeprowadzić rewizyę. Tam niespodzianie natknęli się na Bonnota, który urządził sobie tu kryjówkę. Zaskoczony Bonnot powitał wchodzącą policyę strzałami. Jouin trafiony kilku kulami zginął na miejscu, Colmar zaś został ciężko ranny. Tymczasem Bonnot zdołał umknąć.

Kiedy agenci nadbiegli przełożonym z pomocą, rzucił się na ziemię i udał umarłego. Agenci zajęli się więc rannymi, a w chwili, kiedy na niego nie zwracano uwagi, skoczył przez okno na dach werandy, spuścił się do ogrodu i zniknął z oczu policyi.

Nowa ta zbrodnia sprawiła w Paryżu wielkie wrażenie. Pościg za Bonnotem rozpoczął się z tem większą zaciętością i ostatecznie udało się policyi zaskoczyć go w garażu automobilowym pewnego milionera. Nie oddał on się jednak żywy w ręce policyi, ale dopiero kiedy garaż rozsadzono bombami dynamitowymi, z pod gruzów wydobyto bandytę, który zmarł od otrzymanych ran.

Obecnie policya tropi jeszcze drugiego przywódcę Garniera.

Kronika tygodniowa.

Zupełnie inaczej zapatruje się dziś człek na ten c. k. świat i zupełnie inaczej oddycha, gdyż według kalendarza mamy już wiosnę prawdziwą. Miesiąc maj zawitał do nas, wprawdzie nie w całej swej krasie i uroku, ale to już nie jego wina, ale poprzedników, kwietnia i marca, które zbeszły się z nami prawdziwie po macoszemu.

Tak samo dzieje się zresztą zawsze i wszędzie, nawet i w polityce. Każdy minister, każdy poseł, nie przypisuje nigdy sobie winy, ale w całości zwala ją na tych, którzy przed nim wypłynęli na powierzchnię, a potem poszli na dno, aby jemu zrobić miejsce.

Oddychamy więc już powietrzem majowem, które tak upaja, że według słów ś. p. Zagłoby nawet wiór do wióra czuje afekt w swem sercu, jeden tylko kronikarz spuścił nos na kwintę, a melankolia kąsa go po łydkach, gdyż chciałby coś napisać o uroczystości pierwszego maja, a dziś jeszcze nie wie, czyli ona się uda, czy też nie. Od niedzieli aura zmieniła się cokolwiek, oziębiło się trochę i deszcz, jak to powiadają, wisi w powietrzu. Jeśli otworzą się niebieskie upusty i w środę nie będzie pogody, a zanosi się na to (dla wytłumaczenia dodam, że piszę to w poniedziałek), cała międzynarodowa frajda, która rozpoczyna się pobudką muzyk wojskowych o godzinie piątej rano, potem przenosi się na zgromadzenie ludowe, a kończy popołudniu festynem, gotowa się ograniczyć do minimum.

Zazdroszczę zresztą co roku o tym czasie socyalistom. Ich międzynarodowe święto pierwszego maja przypada zawsze na początku miesiąca, kiedy każdy obywatel ma pieniądze, a tem samem zupełnie inną fantazyę, zostającą zawsze w ścisłym związku z zawartością kieszeni. Burżujskie święta natomiast obchodzimy najwcześniej w połowie miesiąca, albo nawet i przy końcu (Boże Narodzenie i tegoroczne Zielone Święta), kiedy w całej Galicyi można obserwować jeśli nie zupełne, to przynajmniej częściowe zaćmienie kieszeniowe.

Byłaby na to jedna rada, na którą skromnie ośmielę się zwrócić uwagę naszych czynników miarodajnych.

Galicya jest krajem zamieszkałym przez Polaków i Rusinów. Jedni trzymają się kalendarza gregoryańskiego, drudzy juliańskiego, spaźniającego się o całe dwa tygodnie, tak, że pierwszego wedle niego przypada akurat na naszego czternastego. Pensye urzędnikom wypłaca się jednak tylko na pierwszego „polskiego“, podczas gdy na „ruskiego pierwszego“ są już w kieszeni pustki. W tem właśnie widzę pokrzywdzenie i to bardzo grube naszych stryjecznych braci zza Sanu, a ponieważ oni żądają równouprawnienia z nami, rzekomo uprzywilejowanymi, powinien któryś z ich przedstawicieli, czy to pan Lewicki, czy Cegliński, czy Budzynowski postawić w parlamencie wniosek, aby na przyszłość wypłacano pensyę w tej samej naturalnie wysokości i na pierwszego wedle kalendarza wschodniego. Jestem najmocniej przekonany, że wniosek tego rodzaju podpiszą bardzo chętnie także i posłowie, należący do innych stronnictw, a pełna Izba przyjmie go bez dyskusyi.

Przewiduję także, że będzie jeden opozycyonista i to w osobie pana ministra skarbu, który powie, że brakuje mu na ten cel funduszów. Ale i na to znajdzie się rada, wyrazi mu się *votum* nieufności i skłoni do ustąpienia. Tak należy postępować aż do skutku, to jest do chwili, dopóki nie natrafi się na takiego, który nie będzie miał nic przeciw temu, pod warunkiem przecież, aby nie żądał za to rekompensaty pod postacią nowych podatków.

Powie ktoś może, że doczekamy się tego, ale... w maju, ja i cały zastęp urzędników zgodzimy się na to, niechby sobie był nawet czerwiec lub lipiec, byleby sprawa doszła do skutku. Posłowie, wracający po podobnej uchwale do kraju, mogliby stanąć zupełnie swobodnie przed swymi wyborcami, pewni, że ci przyjmą ich owacyjnie.

Wielu ojcom rodziny spadłby w ten sposób ciężki kamień ze serca, a tych kamieni gniecie ich dość.

Jednym z nich, to sprawa zaopatrzenia całej swej czeladki, głównie naturalnie rodzaju żeńskiego, w garderobę. To czyzak, daleko przykrzejszy nawet niż inspektor podatkowy, a odnawiający się przy każdej zmianie sezonu.

— Oj, żeby ten się powiesił, kto wynalazł mody! — powiada każdy z nich i ma zupełną racyę, co rok bowiem zmieniają się one, a każda kobieta zgodzi się raczej na całoroczny post bez mięsa, a nawet i nabiału, niżby miała się pokazać publicznie w sukni, sporządzonej nie według ostatniego wzoru.

Mężczyzna jest o tyle szczęśliwszym, że w jednem ubraniu może ostatecznie paradować przez cały rok, kobieta potrzebuje kilku, jeśli nawet nie kilkunastu. Zauważyć się przecież i w tym kierunku daje pewne dążenie do praktyczności. Na krótkie i obcisłe suknie potrzeba stosunkowo mniej materyału, niż np. na ś. p. krynoliny, różne sprzęty domowe, odpowiednio przystrojone wstążkami, mogą zastąpić modne kapelusze.

Ze wskazówek, pomieszczonych w różnych rozprawach mniej, lub więcej uczonych, a traktujących o sprawach zdobienia niewieściego ciałka w różne strojone fatałaszki, skorzystałem i ja i tanim kosztem sprawiłem mojej magnifice i obu córkom wspaniałe letnie kapelusze, w których z pewnością zrobią niebywałą furorę!

Kosz redakcyjny, lekko zgnieciony, udekorowany kokardami i całym snopem kwiatów, przyozdobi głowę pani domu, skromniejsze koszyczki, służące do wypiekania chleba, polakierowane na kolor niebieski i lilla, dostaną się mym pociechom.

Choć więc tym razem udało mi się jakoś „chytro-mudro“ wybrnąć z krytycznego położenia, byłbym za tem, aby znalazła się władza, któraby się tem zajęła i orzekła, że mody niewieście, podobnie jak podręczniki szkolne, powinny mieć walor bodaj przez pięć lat.

Czuję, że większość Czytelniczek pogardliwie ruszy tylko ramionami i nad mymi wywodami przejdzie do porządku dziennego. Nie dziwię się temu, żadna z nich nie była dotąd ojcem rodziny i nie wie, co to za przyjemność, gdy się musi dać pieniądze na stroje, a w kieszeni pustki! Chłopakom każe się przerobić swoje stare ubranie, z żeńską częścią inwentarza domowego trudniej... Nieraz przychodzi na człowieka takie czarne zwątpienie, że gdyby nie zimna woda, w której można się łatwo nabawić kataru, rzuciłby się w odmęty Wisły lub Rudawy...

W miarę zbliżania się lata i wakacyi zaczynają ci też w domu zatruwać życie pytaniami, dokąd też zamyślasz wysłać tego roku swą rodzinę na willegiaturę.

— Czy uważasz, mój mężu — rzecze ot tak sobie mimochodem żona — że ja, zdaję się, cierpię na bledniczę! Pytałam się wczoraj jednego ze znajomych lekarzy, czy Krynica nie zrobiłaby mi dobrze, zgodził się zaraz...

— A my, tatusiu — wołają obie córki — tak chętnie pojechałybyśmy nad morze... Jakie tam cudne widoki!...

— Dobrze! dobrze! Poszukajcie tylko kogoś, ktoby dał na to monety, bo ja jestem goły, jak święty turecki! W Konstantynopolu kanonizowaliby mnie natychmiast.. Mogę wam tylko tyle zrobić, że tobie, moja żono, kupię przewodnik po Krynicy i kilka flaszek Słotwinki, rozczytuj się i popijaj sobie, a będzie ci się zdawało, że tam jesteś; wy zaś, moje aniołeczki, macie tutaj po dwadzieścia halerzy, idźcie sobie do fotoplasticum i delektujcie się cudnymi widokami morza... Na więcej mnie nie stać!...

Czy się zgodzą na moją propozycyę, nie wiem, jeżeliby jednak czynniy energiczniejsze zamachy na mą kieszeń, gotów jestem zapomnieć o złożonej przy ołtarzu przysiędze: iż cię nie opuszczę aż do śmierci... i drapnąć bodaj do Trypolisu na pomoc Turkom, którzy do dziś czekają nadaremnie na krakowski legion ochotniczy.

Być może, że moje przybycie przechyli szalę zwycięstwa na jednę, lub drugą stronę, tak bowiem, jak jest obecnie, nie może trwać dłużej. Właściwie nie wiemy, kto tam jest stroną czynną, to jest zwyciężającą, kto zaś bierną, czyli biorącą w skórę. Wiadomości zaczerpnięte ze źródeł włoskich, przedstawiają sytuacyę w ten sposób, że lada chwila należy się spodziewać wzięcia do niewoli ostatniego, zdolnego do walki Turka, gdy tymczasem armia króla Emanuela ma się doskonale, a tylko odciski dokuczają żołnierzom. Powodem tego nie jest jednak bynajmniej częste uciekanie przed nieprzyjacielem, ale chodzenie w podartych butach po gorącym piasku. Turcy natomiast utrzymują, że wszystko jest w porządku i dzięki łaskawej pomocy Allaha za miesiąc, najdalej zaś za dwa miesiące, nie znajdzie Włocha w Trypolisie ani na lekarstwo, chyba, gdyby zjechał przypadkowo na gościnne występy jaki signor Maccaroni, albo signorina Mortadella.

Sforsowanie Dardanelli nie udało się flocie włoskiej. Było wiele huku i stuku, ale pożytku z tego mało. Kilkanaście pancerników waliło przez cały dzień z armat, a efekt tego rodzaju, co podczas bombardowania Zamościa przez Szwedów. Wprawdzie odłam granata nie ugodził w żywot poczciwej świnki, gdyż Turcy, jak wiadomo, nie hodują nieczystych stworzeń, choć i oni się cywilizują i sprowadzają szynkę od Sataleckiego i Bialika, pociski włoskie nie wyrządzały przecież szkód dotkliwszych, a cały atak robił wrażenie komedyi, zainscenizowanej dla wywołania efektu.

Jednem słowem: kiwanie palcem w bucie.

Cesarz Wilhelm natomiast nie odzywa się wcale, choć, bawiąc na Korfu, był bardzo blizko terenu wojny. Wytłumaczyć to można chyba zajęciem się układem telegramu do Lindquista, który zadziwił całe zjednoczone Niemcy.

Austrya także niewiele uwagi poświęca swemu koledze z trójprzymierza, gdyż sama ma dość kłopotów i to w obydwu połowach monarchii. W Cislitawii gabinet hr. Stürgkha choruje obłożnie, czego następstwem ma być podobno rozpisanie konkursu na trzy posady c. k. ministrów, a to po panach Zaleskim, Trnce i Rösslerze, w Zalitawii hr. Khuen Hedervary poszedł „w senatory“ i zrobił miejsce dr. Lukacsowi, któremu, choć dopiero objął urzędowanie, już przecież dała się we znaki bolączka chorwacka i czyrak, nazywający się Csuvajem.

Co do kandydatów na opróżnić się mające fotele ministeryalne we Wiedniu, to tych z pewnością nie braknie. Coraz głośniej wspomina się o drze Leu, który obejmie portfel po ministrze Zaleskim, o ile naturalnie nie sprzeciwi się temu pan Jan od ludowców, który po śmierci ś. p. kardynała Puzyny objął prawo „veta“ przy obsadzaniu wszelkich posad kierujących i ostatnio pogrzebał już Dudia Abrahamowicza, kompetującego o sukcesyę po hr. Badenim.

Wszystko to są jednak kombinacye, przypominające spór o skórę na żywym baranie, nie wiadomo przecież, czy wyżej wspomniani dostojnicy ustąpią, a jeżeli ustąpią, czy tak zaraz.

C. k Dyrekcya kolei państw. donosi:

Z dniem 1 maja b. r. zaprowadza się na wszystkich szlakach c. k. kolei państw. w Galicyi i na Bukowinie nowy rozkład jazdy z następującemi ważniejszemi zmianami: Pociągi pospieszne, zwane Karlsbadzkie, Nr. 203 i 204 będą kursowały codziennie od 15 maja do 30 września między Podwołoczyskami i Karlsbadem. Wyposaży się je w wozy najnowszej konstrukcyi wszystkich trzech klas i w wóz sypialny. Wszystkie te wozy będą przechodziły cały szlak Podwołoczyska-Karlsbad, względnie w odwrotnym kierunku bez zmiany.

Wagon restauracyjny będzie kursował między Podwołoczyskami i Boguminem.

Pociąg odjeżdżający z Warszawy o północy przyspieszony z Granicy przybędzie do Krakowa już o godz. 8 48 rano (zamiast jak dotychczas o 9 45 przedpoł.) i przejedzie cały bez zmiany wozów na linię transwersalną jako pociąg Nr. 41 o godz. 9 5 rano. Ponadto będzie przy tym pociągu kursował od 1 maja do 14 czerwca i od 1 października do 30 kwietnia 1913 r. wóz I/II. klasy wprost z Warszawy do Zakopanego i wóz III klasy z Granicy do Zakopanego.

Między Krakowem i Krynicą, Lwowem i Krynicą, zaprowadza się w czasie od 1 czerwca do 30 września przy nocnych pociągach oprócz wozów I/II klasy także i wóz III klasy w obydwóch kierunkach.

W czasie zaś od 15 czerwca do 30 września zaprowadza się przy pociągu osobowym Nr 13 odjeżdżającym z Krakowa o godz. 10 45 przed południem wozy I II i III klasy, kursujące wprost z Krakowa do Krynicy, a przy pociągu pospiesznym Nr 6 odjeżdżającym ze Lwowa, o godz. 8 22 rano, wagon I/II kl. wprost ze Lwowa do Krynicy. Wozy te będą powracały z Krynicy do Krakowa, względnie do Lwowa pociągiem południowym przyjeżdżającym do Krakowa o godz. 5 50 po poł. a do Lwowa o godz. 8 25 wieczór.

Od 1 maja do 30 września będą przy wszystkich pociągach kursowały wagony wprost między Tarnowem a Krynicą.

Dla wygody podróżnych jadących na Rivierę zaprowadza się przy pociągu pospiesznym Nr 4 odjeżdżającym obecnie z Krakowa o godz. 9 55 a od 1 maja o godz. 10 15 wieczór, z 1 maja b. r. wóz I/II klasy z Podwołoczysk wprost do Ventimiglii.

Celem uzyskania dogodnego połączenia z Krakowa ze stacyami leżącemi na szlaku Stróże-Nowy Zagórz, a więc z Iwoniczem, Rymanowem, Krosnem i t. d. złączono pociąg Nr 13 (odjazd z Krakowa o godz. 10 45 przedpoł.) z pociągiem Nr. 1229 w Stróżach.

Pociąg Nr 49 odjeżdżający z Krakowa do Zakopanego o godz. 3 45 po poł. pociąg Nr 6113 odjeżdżający z Zakopanego o 8 15 rano, a przyjeżdżający do Krakowa o godz. 2 5 po poł. i wreszcie pociąg Nr. 6119. odjeżdżający z Zakopanego o 10 wieczór, które dotychczas kursowały tylko w sezonie letnim, będą kursowały począwszy od 15 czerwca b. r. codziennie bez przerwy w zimie.

Bliższe szczegóły podają ścienne rozkłady jazdy wywieszone na wszystkich stacyach. Ścienny rozkład jazdy jest do nabycia w głównej kasie c. k. Dyrekcyi kolei państw. w Krakowie za złożeniem lub nadesłaniem 50 halerzy.

Festival muzyki polskiej.

Dwa uroczyste koncerty w dniach 25 i 26 kwietnia, poświęcone w całości muzyce polskiej, wy-



Walka z bandytami w Paryżu: Szef policyi paryskiej Jouin, zamordowany przez herszta bandytów automobilowych Bonnota.

warły w Krakowie głębokie wrażenie. W wykonaniu znakomitej orkiestry wiedeńskiego Konzertvereinu, najlepszej, jaką u nas w ostatnich latach słyszano, pod kierownictwem niepospolitego dyregenta G Fitelberga, poznaliśmy sześć dzieł symfonicznych, na europejską miarę zakrojonych, świadczących, że i muzyka polska zaczyna wychodzić z ciasnych szranek rodzajowości etnograficznej, biorąc rozmach do nadążenia współczesnym kierunkom, obowiązującym w świecie. W pierwszym koncercie przedmiotem gorącej owacyi był Ludomir Różycki, twórca „Bolesława Smiałego" i „Mony Lisy" — jedna z największych nadziei młodej muzyki polskiej, — zainteresował żywo wspaniale odegrany „Sokół" Fitelberga, arcydzieło techniki orkiestracyjnej, podczas gdy potężne tony „Oświecimów" ś. p. Karłowicza kazały jeszcze raz rozpamiętywać, jaką stratę sztuka polska poniosła przez tragiczny zgon tego wyjątkowo uzdolnionego kompozytora. W drugim koncercie miłem urozmaiceniem było 10 pieśni Szymanowskiego w skończonej pod każdym względem interpretacyi p. St. Korwin-Szymanowskiej. Rozgłośna symfonia tegoż autora, pomimo swej pozornej nieprzystępności, wywołała niebywały entuzyazm. Szeroka, niefachowa publiczność odczuła lepiej potężny talent, tkwiący w tem dziele, niż muzycy, którzy nawet drukiem przyznali się, że do tej muzyki nie dorośli. Szymanowskiego oklaskiwano frenetycznie, a orkiestra, gdy się ukazał, przyjęła go tuszem. Oba koncerty, zainicyowane i urządzone przez dyr. Trzcińskiego, a podobno z góry obliczone na deficyt, są doniosłym czynem artystycznym, który w dziejach muzyki w Krakowie stanowić będzie piękną i zaszczytną kartę.



Sokola drużyna dramatyczna we Lwowie: Kółko amatorskie „Sokoła" II. we Lwowie po setnem przedstawieniu. W pośrodku siedzi reżyser, artysta teatru lwowskiego p Kalinowski (X). (Fot. M. Münz, Lwów).



Festival muzyki polskiej: Orkiestra „Wiener Konzertvereinu" po próbie w dniu 26 kwietnia. W pierwszych rzędach: p. St. Szymanowska, dyr. Fitelberg, dyr. Trzciński, L. Różycki i K. Szymanowski.

Sokola drużyna dramatyczna we Lwowie.

Brak stałego teatru ludowego we Lwowie spowodował, iż szereg stowarzyszeń lwowskich potworzył kółka amatorskie, które z powodzeniem starały się brak ten zastąpić. Na czoło tych kółek wybiło się koło dramatyczne Sokoła II. Powstanie tej drużyny artystycznej miało i ten cel, aby przy pomocy przedstawień przysporzyć funduszów Sokołowi, który budując własny gmach, bardzo tego potrzebował.

Z początku praca szła dosyć ciężko. Ostatecznie jednak uzyskało kółko doskonałego reżysera, w osobie artysty teatru miejskiego, Edmunda Kalinowskiego i pod jego kierownictwem wydoskonaliło się tak, iż przedstawienia w Sokole II. stale wypełniają salę, stanowiąc zarazem rodzaj teatru ludowego dla obszernej dzielnicy Gródeckiej we Lwowie.

W ubiegłym tygodniu koło obchodziło wielką uroczystość. Dano setne przedstawienie, które zamieniło się w serdeczną owacyę dla druhów i druhen, którzy z prawdziwem poświęceniem dla dobrej sprawy pracują.

Nowa organizacya zawodowa.

(Do illustracyi na str. 10).

Idea organizacyi zawodowej coraz głębsze zapuszcza korzenie w naszem społeczeństwie. Przedstawiciele najrozmaitszych zawodów i fachów łączą się w związki i stowarzyszenia dla ochrony swych interesów i wzajemnej pomocy, a liczba organizacyi zawodowych wciąż wzrasta... Obecnie do szeregu tych organizacyi przybyło Stowarzyszenie koncesyonowanych nauczycieli tańców, obejmujące swą działalnością Galicyę, a mające swą siedzibę we Lwowie. Ta nowa organizacya zawodowa została już zatwierdzona przez Namiestnictwo i wybrała zarząd, w skład którego weszli: p. Nikodem Loeffler jako prezes, a p. Rudolf Nowicki jako wiceprezes.

Illustracya nasza przedstawia grupę członków nowo zawiązanego stowarzyszenia z prezesem, p. Loefflerem w pośrodku.

Stanisław Knake-Zawadzki.

W bieżącym roku upływa lat 10 od utworzenia w Krakowie Teatru Ludowego, nie od rzeczy przeto będzie poświęcić parę słów jego twórcy, znakomitemu artyście, p. St. Knake Zawadzkiemu.

Lat temu chyba trzydzieści, w teatrze poznańskim wystawiano „Miód kasztelański“. Na scenie doskonale zgrani a utalentowani artyści wskrzeszali w oczach widza życie minionej bezpowrotnie przeszłości, wcielone w giest szlachetny, w słowo płynne, w grupy układne. A czy to był dar twórczy, czy tylko „odtwórczy“, mniejsza o grę słów; jedno, co pewne, że była to „współtwórczość“ z poetą, którego słowo doskonałym wspierała kształtem. I to też pewne, że żadnemu z ówczesnych artystów nie brakowało ani warunków zewnętrznych, ani głosu, ani szlachetnego talentu, a zapał do umiłowanej sztuki w karne ich ujmował szeregi zharmonizowanego zespołu.



Stanisław Knake-Zawadzki.

Otóż w tej atmosferze doskonale scenicznej zjawił się po raz pierwszy przed oczami piszącego te słowa rotmistrz chorągwi pancernej, Kaniowa Stanisław Knake-Zawadzki i został w nich — na zawsze.

Wiele lat minęło, wiele podniosłych wrażeń dostarczył mi teatr, a Zawadzki Kaniowa żyje w mej pamięci wspomnieniem niezatartem.

Wzrost dorodny, sarmackie oblicze, wzrok orli i ten przewspaniały głos! — głos w tonacyi bas-barytonowej o dźwięku spiżowym, o miękkości aksamitu lońskiego, rozlewny, to skupiony, w napięciu huczący gromem lub nawskroś przenikający złowieszczym, groźnym szeptem. Czem jest głos Zawadzkiego, miał sposobność przekonać się piszący te słowa w dniu otwarcia nowego teatru w Krakowie, kiedy na zakończenie wspaniałego fragmentu „Konfederatów Barskich“ Mickiewicza po przepięknych scenach, pełnych grozy dramatycznej, padło jedyne słowo Zawadzkiego Wojewody — rozkaz, wydany Zoroi wystrzelania wszystkich uczestników łowów, okropne słowo ojca, skazującego na śmierć córkę renegatkę — jedno słowo: „wszystkich!“ I to jeno słowo zawisło nad widownią, jak grom ukryty w chmurze.

Wyjątkowe warunki wsparły przepiękny talent artysty, śmiały, twórczy, czasem kapryśny, jakby buntujący się przeciwko konieczności poprawności grania rzemieślniczego, na zawołanie, z dnia na dzień. Talent Zawadzkiego jest nie na miarę naszych scen współczesnych, aby mógł zabłysnąć w całej swej potędze.

Tragik z Bożej łaski, wtłaczany konieczności repertuarową w tak zwaną wszechstronność, roni siły i czas próżno traci na jałowej niwie.

Artysta służy obecnie sztuce na scenie warszawskiej, gdzie po tryumfach pierwszego roku w rolach takich, jak: Perykles w „Aspazyi“, przeor w „Klasztorze“, generał we „Fryderyku“, komisarz konwentu w „Weselu podczas rewolucyi“, Franciszek Moor, Holger w „Ponad siły“ i w innych w roku następnym, w których miał sposobność uderzyć w złote struny wspaniałego talentu swego i zagrać wielką pieśń ku chwale Melpomeny — obecnie obraca się w anemicznej współczesności sztuczek teatralnych.

Zawadzki, a z nim publiczność, czeka na godny pierwszej sceny polskiej repertuar poetyckiej dostojności. *E. G.*



Stanisław Knake-Zawadzki w roli „Otella“.



Stanisław Knake-Zawadzki w roli Franciszka Moora w „Zbójcach“.



Stanisław Knake-Zawadzki jako Franciszek Moor.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 16.

Logogryf: Stanisław Moniuszko.

Zagadka literacka:

Chata za wsią
Od kolebki do mogiły.
Gawędy o literaturze i sztuce.
Łodzwa pieczara.
Ostatni z Siekierzyńskich
W pocie czoła.
Amfilas.
Tomko Prawdzic.
Ostap Bondarczuk.
Romułowie.
O trożnie z ogniem.
Złote jabłko.
Urana.
Maleparta.

Szarada: Karawana.

Zadanie do przestawienia: Trafiła kosa na kamień.

Arytmogryf:

K	u	c	e	
R	ę	k	a	w
A	t	l	a	s
S	m	a	k	
Z	w	a	b	i

Zagadka przysłowiowa: Czem chata bogata, tem rada.

Rebus: Krytyka bezstronna wytyka wady, ale i zalet nie ukrywa.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Zakopane, M Lipinski Wiedeń, J Jakubowska Kraków. M Zabierzewska Kraków. K Fuchs Czeremchów, ks J Weic Gorlice, M. Arbesbauer Lwów, M Serbeńska Budzanów, K Jurajdowa Gliniany, E Bogdalska Koropuż, K. Szumańska Rawa Ruska, M. Szeparowicz Dobrzany, K Radoszewski Tarnobrzeg, M. Planecka Kraków. F Gebhardt Kraków. J. Roland Prądnik Czerwony, B Klusaczek Sambor, W. Potocka Kraków, J. Wilczkiewicz Stanisławów, M Węckowski Warszawa, H Kalinowski Lwów, J. Kamocka Kalisz. M Trepka Sandomierz, Z Mazaraki Radom, J. Trojacki Wiedeń, R Sperling Wiedeń, H Pątek Podwołoczyska, S. Lisowski Kołomyja, J Jahoda Cieszyn L. Obraczay Morawska Ostrawa, W Kwaśniewski Lwów, J Świrski Piotrków, A Ostrowski Radom, L Bandrowski Częstochowa, J Rosenbaum Rozwadów, H Obst Łódź, H Kapalska Lwów, S Krzyżanowski Kraków, A Wojciechowski Kraków, B. Singer Drohobycz, W. Borkowski Lwów, M. Zawadzki Tarnów, J Topolnicki Kamieniec, J Popiel Mińsk, H Kamiński Petersburg, S Bukowski Kijów, H. Maciejowska Winnica, K. Armatys Ulanów, J. Czarkowski Skierniewice, J. Kruszelnicka Janów, S Karczmarski Poddębie H Kapalska Lwow, J. Krysakowski Częstochowa, J Piękoś Sanok, H. Mizerska Stanisławów, A Biliński Lwów, A. Siatka Kraków, H Wincenciak Kraków, K. Kadnski Oświęcim, J. Gruszczyńska Kraków, J Gruber Kraków. E Niestenberger Kraków, J Strojek Tarnopol I Brzostowski Podgórze, M Cichocka Żabno, J. Bałuk Kołomyja, F. Horedyski Warszawa. T Kinals i Tarnów, J. Mann Bochnia, C. Wang Tarnobrzeg. D Engelberg Rzeszów, M Scholz Kraków. H. Lindeska Zakopane, J Czernecki Kraków, W. Pick Warszawa, J Majewski Lublin, H Schwarz Warszawa. K Link Lwów, S Stawarski Poznań, M Krawecki Radom, S Karwowski Pilzno. K Zegartowska Bogucice, S Kowalówka Kraków, J. Wójtowicz Rzeszów, S Reich Łódź, Z Dembiński Bochnia, S. Niżyński Lwów, A Gralewski Kraków, A. Trzeciak Sanok, S Bobrowski Warszawa, J Wieniórowski Sambor, A. Dużak Kraków, F Nowacki Przemyśl, S Kozłowski Piotrków, I. Janik Drohobycz, T. Chrzanowski Suwałki M Todorowski Lwów, E Mianowska Lwów, R Łysakowski Sichów, M. Orlińska Lwów, L Aleksandrowicz Płock, M Sadowska Poronin. J Ryglicki Poznań, M Klappholz Rzeszów, J Zaleski Czerniowce. H Gawlik Jabłonów. S Sokołowski Kraków. K. Garlicki Lwów, R Kopystyński Jasło, S Mróz Lwów, J Przybysławski Żabno, G Osowski Pilzno, J Jaglarz Rzeszów, A Lichańska Radziwiłłów, S Baziak Stanisławów H Biesiadecka Kraków. K Gliński Kołomyja, S. Kozicka Częstochowa, M Misińska Lwów, F Bäuterfeind Jaworów. S Lindenbaum Czerniowce, M Łapinski Warszawa, P. Madejski Praga. T. Leszczyński Wadowice, H Lasocińska Lublin, R Zięba Sandomierz, R Wyka Sambor, J. Zachara Mielec, R Gadomski Zakopane, T Kozarska Warszawa, L Zapałowicz Wilno, R Dębicki Lwów, C. Antosz Kalisz, S. Wojakowski Petersburg, H Broda Lwów, A Barnat Złoczów, T Nikiel Kraków. F Horak Oświęcim, L. Berezowski Nowy Sącz, S Fijałkowski Jasło

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Stawarski, Poznań.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Głosy publiczne.

Z Sekretaryatu Tow wyścigów konnych w Krakowie donoszą nam, że do konkursów hippicznych czyli popisów w jeździe, w skokach konnych, do skoku na wysokość, oraz do Wielkiego wyścigu myśliwskiego odbyć się mających w czwartek dnia 16 maja b. r. na torze wyścigowym, można zapisy koni do dnia 4 maja b. r. do godz. 8 wieczorem w Sekretaryacie ul. Wolska L. 40 uskutecznić.

Powtórne mianowania wyłącznie do wyścigu myśliwskiego i Skoku na wysokość, mogą nastąpić za opłatą podwójnej wkładki do dnia 7 maja b. r. do godz. 11 przed południem.

Wyścigi konne w Krakowie. Posiedzenie doroczne Towarzystwa międzynarodowych wyścigów konnych oraz Galicyjskiego Klubu Jazdy Panów odbędzie się pod przewodnictwem Prezesa J. Eksc. Romana hr. Potockiego dnia 5 go maja b. r. w kancelaryi wyścigów konnych ul. Wolska L. 40 (parter).

Z Cyrku Edison. Najnowszy program Cyrku Edison przynosi z dniem 3-go maja b. r. doskonały dobór obrazów. — Atrakcyę programu stanowi „Bosonoga tancerka" wstrząsający dramat w 2 aktach osnuty na tle społecznem, niezrównany wprost pod względem naturalności i prawdy życiowej. Długość filmu tego sensacyjnego zdjęcia wynosi 1500 metrów.

Z oryginalnych zdjęć dokonanych z natury, powszechne zainteresowanie budzą: „Walka byków w Nimes", „Zamek w Fontainbleau" i aktualny jak zawsze Żurnal Pathego. — Wkońcu stronę komiczną reprezentuje „Moryc w roli policyanta" i „W Haremie" arcywesoła przygoda artysty-malarza.

Ze świata kobiecego.

Wejście w świat młodej panienki.

W kwestyi wprowadzenia w świat panienki zaszła zmiana. Do niedawna pierwszy występ był rzeczywiście pierwszym, to jest, że panienka pozostająca w klasztorze, lub na pensyi, z chwilą, gdy opuszczała zakład naukowy, zazwyczaj przy skończonych szesnastu, lub siedemnastu latach, dawała



Ubranie sportowe dla młodej panienki. Golf z białej wełny, czapeczka ponsowa, lub granatowa.

się poznać okolicy czy miastu na wieczorze, urządzonym na jej intencyę. Następowało wówczas nagłe przejście z krótkiego mundurka do długiej, a nawet ogoniastej sukni i uczesania włosów jak osoby dorosłej, zamiast warkoczy rzuconych na plecy.

Obecnie panienka wchodzi w świat bardzo stopniowo. Zaczyna się to już od tak zwanych *kinderbali*, zabaw dla dzieci, równie niesympatycznych w nazwie, jak niepedagogicznych w założeniu, na których nawiązuje panienka pierwsze balowe znajomości z młodzieżą w marynarskich bluzkach. Potem w każdym karnawale wytańcowuje kilka, lub kilkanaście razy z coraz to starszą młodzieżą, przyczem wytargowuje u krawcowej przydłużenie sukni, włosy czesze w coraz bardziej pretensyonalny sposób, wprawia się w kokieteryi i flircie.

Przecież zdarzają się jeszcze matki, które rozumieją dodatnie strony późniejszego wejścia w świat panienki i to z zachowaniem jej całego wdzięku świeżości i nowości. Pierwsze te występy odbywają się teraz, raczej na wiosnę, nie zaś, jak dawniej, w karnawale. Wynika to stąd, że panienki nasze po ukończeniu pensyi zazwyczaj przez jedną zimę uczą się jeszcze, pobierają lekcye, celem dopełnienia edukacyi i wydoskonalenia talentów. Dopiero z wiosennym karnawałem, wraz z różą i motylem zapoznają się z szerszym światem. Jest to bardzo ładne, bo harmonizujące z naturą i otoczeniem. Przytem przy wiosennym karnawale ma się nietylko wieczory, ale też majówki, wycieczki i spacery, dające śliczne ramy młodej istocie.

Barwy jasne: biała, różowa i błękitna, zawsze są najwłaściwszemi na występy młodej panienki.

Źle robią zatem panie, które dla uniknięcia banalności sprawiają córkom suknie w barwach nowomodnych i zbyt oryginalne w fasonie. Sukienka wieczorowa młodej panienki powinna mieć przedewszystkiem dwa przymioty: świeżość i prostotę. Nic piękniejszego, jak biała sukienka, przybrana pierwiosnkami, lub stokrotkami. Przy obecnej modzie przybierania sukien frendzlami, możemy zastosować te drobne i wdzięczne kwiatki, układadając je girlandami, których część opuszcza się frendzlą. Również zawsze młodym i ładnym będzie sposób przybierania sukien girlandami róż bez kwiatów. Bukiet sztucznych czereśni, lub truskawek przy staniku, i rzucony od niechcenia na spódniczkę, niemniej jest ładnym i właściwym. Przybierają sukienki balowe i spacerowe bardzo ładnie ażury, naszywania z wstążek, lub zawsze modne i eleganckie walansieny. Bardzo stosowne też jest przybieranie, lub mieszanie materyału gładkiego, białego z deseniowym.

Nie może tu być mowy jednakże o dużych kwiatach lub ramażach, groszki i drobne kwiatki lub bukieciki *à la Vateau* będą jedynie odpowiedniemi. Tak więc przy białej spódnicy szeroki szlak i bluzka



Uczesanie dla młodej panny.

formą *kimono*, wiązana na boku z materyału deseniowego, albo też tunika z krótkiemi rękawkami, równo obcięta na wysokości kolan. Na ogół mieszanie zdecydowane, całościowe, nie wyszukane w pomysłach.

Niezmiernie ważną rzeczą jest uczesanie. Większość panienek lubi przeczesywać się w różne sposoby, stosując najrozmaitsze oryginalności. Wychodzą stąd rzeczy nieraz wprost potworne: przesadne loki, warkocze upięte na uszach i otoczone girlandami kwiatów, lub wstążką, wreszcie uczesanie secesyjne, gładko przyczesane, aż poniżej uszu, przy którem ginie drobna twarzyczka i zatraca się linia owalu. A tymczasem dzisiejsza moda wprowadza tyle inowacyi, właśnie jak wymarzonych dla młodej panienki: krótka grzywka, lub pukle na bok odczesane, a nad niemi szeroka aksamitka, albo wstążka, gładko otaczająca główkę; otoczenie włosów lekkim zwojem iluzyi, przytrzymanej z boku różą; róża sama, aksamitna, jasna, wpięta we włosy tuż przy skroni; wreszcie girlanda drobnych kwiatów, takich jak i przy sukni, pojedynczo, lub podwójnie otaczająca głowę. Przedewszystkiem niech panienki strzegą się biżuteryi; mała broszeczka, niekiedy agrafka, wąziutka bransoletka, *porte-bonneur* sznurek niedużych pereł, lub korali, pierścionek na palcu jeden — jedyny.

Pamiętajcie, że najpiękniejszy klejnot ma mniej blasku od blasku młodości; nie przyćmiewajcie tego skarbu, lecz okazujcie go w całej pełni w ramach



Suknia wieczorowa z niebieskiego muślinu, nakrapianego złotem, karczek i rękawki przybrane złotą frendzlą z paciorków.

prostych, a wykwintnych, najgodniejszych arcydzieła tworów Boskich. *Ramo.*



Piłki nożne



LAWN-TENNIS

Rakiety, prasy do tychże.
Piłki, siatki i wszelkie przybory sportowe.



Wrotki
ameryk. łyżwy na kółkach.

APARATY GIMNASTYCZNE
angielskie, systemu Autogymnast Whitely. Sandow's i inne polecone przez największe powagi lekarskie do wyrobienia siły i muskularnych kształtów ciała.

PRZYBORY RYBOŁOWCZE
w największym wyborze.

Najlepsze FARBY OLEJNE
Lakiery, emaile, glazury bursat. Masa francuska, Cirine i wosk
Środki do czyszczenia metali.
Nowość! **„PERRUGINOL"** Guma szmirglowa na rączkach do czyszczenia metali — praktyczna Nowość!

polecają najtaniej

Reim i Ska, Kraków

Rynek 37, Linia A-B.

FARBY DO PISANEK I POTRAW
Kompozycye do sporządzania likierów. Galaretki drożdżowe. Artykuły piwniczne: pipy, korki, kapsle, węże gumowe.
Nowość! Hanaka pat. maszyna froterująca i woskująca równocześnie, sztuka K 24·—

PERFUMY, MYDŁA, PUDRY i KREMY
z najsłynniejszych fabryk krajowych i zagranicznych.
Najświeższe nowości zawsze na składzie.
ŚMIGUSY w różnych kształtach. Grazya Matuli do wąsów.
Woda kolońska i perfumy na wagę.
Artykuły toaletowe i kosmetyczne



ogłaszane w „Tygodniku" i „Świecie" warszawskim zawsze na składzie

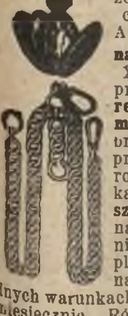


MYDŁA
o silnych zapachach 1 kg. Kor. 1·80.
Kwiatowe w karton. 6 szt. Kor. 1·—.

Środki do barwienia i konserwowania włosów.

Na raty!

Aby rozsprzedać olbrzymią ilość łańcuszków złotych i wspaniałych



zegarków dostarczam w całych Austro-Węgrzech **natychmiast** za K 14·— znakomity, prawdziwy, **zegarek srebrny „Remontoir"** o 3 srebrnych pokrywach, prześlicznie grawirowany Także 14-karat. **złoty łańcuszek pancerzowy** w najnowszym fasonie, urzęd. stemplow. za K 140·—, na moich dogodnych warunkach **tylko po K 4·— miesięcznie**. Również zegarki i łańcuszki dla Pań. **Dostarcza natychmiast wszędzie za pobraniem pierwszej należytości w kwocie Kor. 14·—. A. Lechner, dom jubilerski, Lundenburg Nr. 113 a.**



Darmo

pomimo ogólnej
drożyzny
otrzyma każdy piękny przedmiot użytkowy, kto zamówi 5 kilową paczkę
Kawy żytniej „Probat"
1 paczka tylko K 3·70, franko do każdej stacyi za zaliczką

„PROBAT"

jedynie daje bez drogiej domieszki ziarn kawy zwykłej, zdrową i smaczną kawę. Prawdziwy tylko w zamkniętych woreczkach z marką „PROBAT"
Bernsdorferowska palarnia zboża
Bernsdorf 23
koło Trautenau (Czechy).



SCIBOROWSKI.K

Kraków, Floryańska 13
poleca
NA SEZON WIOSENNY i LETNI

Płaszcze angielskie,

kostyumy, bluzki jedwabne, wełniane i etaminowe, **szlafroki, sukienki** batystowe i etamin., **szale, rękawiczki, pończochy** i t. d.



Z powodu naśladownictw należy uważać na nazwisko **Róża Schaffer.**

Piękność jest bogactwem,
Piękność jest potęgą.

Zdobyć ten największy skarb udało się dotąd jedynie tylko wynalezionym i przez używanym **środkom upiększającym** **p. Różę Schaffer**

Puder ravissante c. k. patent. i uprz. jest niezbędnym każdej damie, czyni cerę olśniewająco białą, pod wspaniałą jego powłoką giną ślady ospy i znamiona, wygładza zmarszczki, ściąga pory i czyni każdą twarz kobiecą olśniewająco młodą. Jestto jedyny puder, po którego użyciu można się myć a działanie jego nie znika. Cena kartonu Kor. **5·—** i **3·—**.

Krem ravissante odmładza o dziesiątki lat i powinien być przez każdą kobietę używanym. Cena Kor. **3·—**.

Woda rawissante zapobiega wiotczeniu biustu, wzmacnia muskuły twarzy i jest najznakomitszą, pewnymi skutkami uwieńczoną wodą toaletową. Cena flaszki Kor. **5·—**.

Rhodopis udziela każdej bladej twarzy ciągłego rumieńca. Flakon Kor. **3·—**.

Perły królewskie Kor. 2·— i Krem rosin Kor. 3·— nadają rękom gładkość marmuru i olśniewającą białość.

Mydło ravissante, najlepsze mydło świata o niezwykłem działaniu Kor. **2·40** i **1·60** **Mydło pachnące** do konserwacyi skóry, działa czarująco na otoczenie, za szt. 70 h, karton 3 szt. K 2·—

Konoor nadaje siwiejącym włosom barwę młodości (blond. bronzową, kasztanowatą, czarną) mały karton Kor. **3·—**, duży K **10·—** **Kernol** udziela wspaniałego blasku Kor. **5·—**, Nieprzyjaciel włosów usuwa pewnie i natychmiast przykre włosy K **3·—**

Środek na wzmocnienie włosów zapobiega wypadaniu i siwiznie, łyse miejsca porastają Kor. **3·—**.

Opaska na brodę dla zapobiegnięcia tworzeniu się zniekształcającego podbródka Kor. **4·—** **Opaska na czoło,** dla osiągnięcia marmurowo-gładkiego czoła bez zmarszczek Kor. **3·—**.

Róży Schaffer „Ulubione fiołki" wspaniały zapach leśnych fiołków Kor. **6·—** i Kor. **4·—**. „Ulubiona woda kolońska" o niezwykłem działaniu od Kor. **2·—** wzwyż.

Róża Schaffer Członek honorowy Instytutu fizyczno-chemicznego w Palermo, dama honorowa orderu sw. Piotra, ozdobiona krzyżem honorowym, król. serbska dostawczyni dworu.
Wiedeń I., Kohlmarkt 6

Oddział wysyłkowy:
Wiedeń XIX/2.

Przy zamówieniach uprasza się o poprzednie nadesłan. należytości, przy zaliczkach o odpowiedni zadatek.

Do Ameryki i Kanady



przeprawia najlepiej

Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka 99.

Cena przeprawy z Tryestu do N. Yorku III. kl. od osoby dorosłej wraz z pogłównem **K 220·—**, od dziecka poniżej lat 12 wraz z pogłównem **K 120·—**.

Odjazd z portu **w Tryeście:** Carpathia: d. 30 kwietnia 1912 Saxonia: dnia 14 maja 1912, Pannonia: dnia 25 maja 1912.
Z Liwerpolu: Lusitania: (najszybszy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 27|4, 18|5, 8|6, 29|6, 27|7 1912 r.
Mauretania: dnia 11|5, 1|6, 22|6, 13|7 1912 r.

We własnym interesie

należy przed zakupnem zegarków kieszonkowych, budzików i zegarów ściennych, towarów muzycznych, manufakturowych, stalowych i skórzanych, sprzętów domowych, przyborów do palenia, toaletowych, broni etc zażądać mego bogato illustrowanego katalogu głównego, który każdemu darmo i opłatnie wysyłam.
Pierwsza fabryka zegarków
Hanns Konrad
c. k. dost. dworu
w Brüx Nr. 2954 Czechy.

Cztery tygodnie na próbę



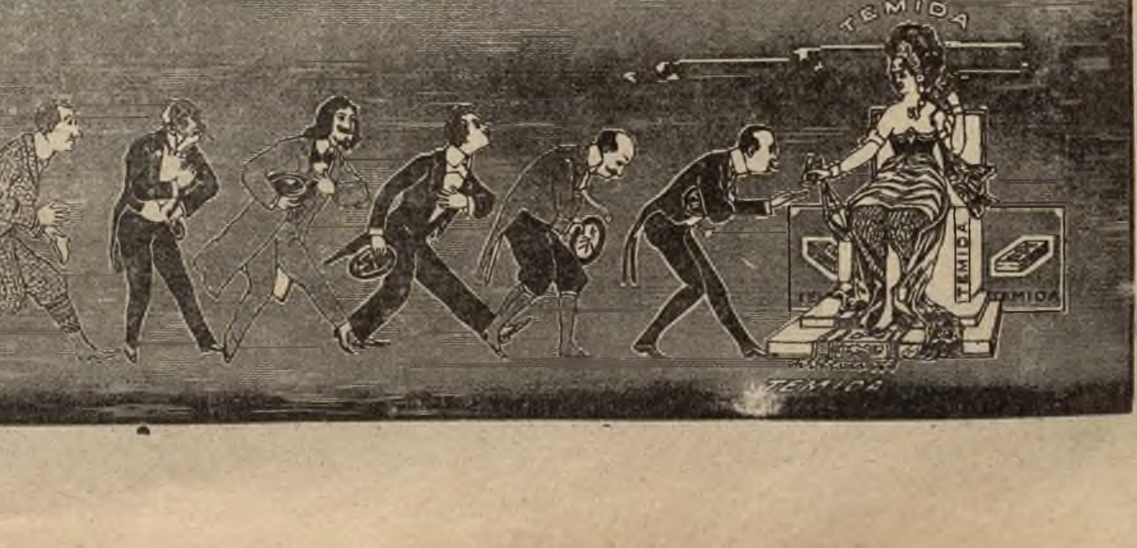
i dla oglądnięcia wysyłam moje znakomite rowery marki **„BOHEMA"** i gwarantuję pisemnie za dobre wykonanie i materyał. Reperacye i części składowe jaknajtaniej.
F. Dušek, fabryka rowerów **w Opočno** stacya kolei państw. 2066 (Czechy). Illustr. cennik darmo.



NOWO OTWARTY MAGAZYN OBUWIA
ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516.
poleca najlepszej jakości i trwałości
obuwie dziecięce, damskie i męskie.

NOWOŚĆ!!!
W TUTKACH CYGARETOWYCH POD NAZWĄ
„TEMIDA"
poleca znana ze swych wyrobów fabryka
RUDOLFA HERLICZKI
W KRAKOWIE.



JACQUES FUTRELLE.

Zadziwiająca kobieta.

Tłum. z angielskiego.

3

Mr. Grimm wziął za ramię pokojówkę i zaprowadził ją do sali, gdzie stał ajent.

— Proszę mi pilnować tej dziewczyny, Gray — rozkazał. A przedewszystkiem nie pozwalać jej z nikim, absolutnie z nikim rozmawiać. Naturalnie, z wyjątkiem szefa.

Zostawiwszy ich — Mr. Grimm udał się w stronę schodów kuchennych. Pokoje i korytarze, przez które przechodził, były oświetlone, ale nie spotkał tu nikogo. Widocznie służba była gdzieindziej zajętą. Przez kuchnię przeszedł na schody i po chwili znalazł się na ulicy.

O kilka kroków od drzwi, oparty o latarnię stał jakiś człowiek. Wyglądał tak, jak gdyby oczekiwał na dorożkę. Mr. Grimm zbliżył się do niego.

— Przepraszam pana — rzekł — czy nie widział pan wychodzącej z tych drzwi młodej kobiety?

— I owszem — odparł tamten — przed kilku minutami wyszła z tego domu jakaś kobieta i wsiadła tam na rogu do automobilu. Przypuszczam, że to do niej należy — dodał, wyjmując z kieszeni maleńką, koronkową, uperfumowaną chusteczkę — podniosłem ją bezpośrednio po jej przejściu.

Mr. Grimm wziął chusteczkę i przyglądał się jej bacznie pod światło. Potem patrząc w oczy nieznajomemu, zapytał powoli i wyraźnie:

— A dlaczego pan zatrzasnął drzwi przed pokojówką?

— Co? Co ja zrobiłem? — zapytał nieznajomy.

— Dlaczego pan zamknął drzwi pokojówce przed nosem? — powtórzył wyraźnie Mr. Grimm.

Nieznajomy spojrzał nań z takiem zdumieniem, tak szczerze, iż Mr. Grimm nie mógł nie uwierzyć. Zapytał więc jeszcze:

— A czy nie widział pan wychodzącego stąd mężczyzny?

— Nie. Niech się pan przyzna, mój młody panie, musiał pan sobie nieco podpić — prawda?

Mr. Grimm, nie odpowiadając — okrążył róg domu.

ROZDZIAŁ IV.

Wizyta u hrabiego.

Mr. Campbell z wyrazem zakłopotania na twary siedział przy swem biurku. Mr. Grimm mówił:

Z chwilą, gdy Miss Thorne znikła za rogiem ulicy — straciłem zupełnie jej ślad. Albo była tak szczęśliwą, że znalazła automobil, albo też miała tam przygotowany i oczekujący na nią powóz. W każdym razie — to jest pewne, że tej nocy nie wróciła do ambasady niemieckiej.

Zatrzymał się w zamyśleniu — po chwili dodał:

— Jest ona gościem Senority Rodriquez w wenezuelskiej ambasadzie.

— Wiem o tem — odparł szef.

— Nie próbowałem widzieć się z nią tej nocy dla dwu przyczyn — mówił Mr. Grimm. — Po pierwsze — nie może mieć pojęcia o tem, że ją podejrzewają, chyba, że człowiek, który zatrzasnął drzwi... Grimm zatrzymał się.

— Po drugie, nie ma zamiaru opuścić Waszyngtonu, wiem o tem dobrze. Nie uważam w tym wypadku za mądre, stosować zwykłe metody policyjne.

Mr Campbell zmarszczył czoło i zamyślił się głęboko.

— Prezydent chciałby bardzo, żebyśmy jak najprędzej mogli mu dać jakieś wyjaśnienia, dotyczące tego przymierza łacińskiego — odezwał się w końcu. Jest w ciągłej korespondencyi z ajentem w Lizbonie, Gaultem — ale ten nie przysyła żadnych nowych szczegółów. W każdym razie, sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli panu powierzę sprawę tego wystrzału — niech pan zrobi wszystko, żeby to wyświetlić.

Czy Senor Alvarez umrze? — zapytał Grimm.

— Rana nie jest śmiertelna, ale stan chorego jest poważny.

Mr. Grimm wstał, podszedł do okna, wyglądał niem przez chwilę, poczem zwrócił się do szefa:

— Co my wogóle wiemy o Miss Thorne?

— Wszystkie raporty o niej nie dają nic szczególnego — odparł Mr. Campbell.

Wyjął jakąś kartkę ze skrytki swego biurka i przejrzał ją.

— Przyjechała do Waszyngtonu dwa tygodnie i dwa dni temu z Nowego Jorku, gdzie przybyła z Liverpoolu na „Lusitanii". Przywiozła list polecający do ambasadora włoskiego, który otrzymał dla niej specyalne zaproszenie na urzędowy bal, odbywający się tej nocy, kiedy przyjechała. Przed czterema tygodniami była jeszcze gościem włoskiej ambasady, — obecnie mieszka w wenezuelskiej. Nawiązała mnóstwo stosunków. Bywa wszędzie przyjmowana w dyplomatycznych sferach. Pozatem nic o niej nie wiemy.

Oczy obu rozmawiających spotkały się. Zdawało się, że i myśli ich spotkały się również.

Włochy były jednem z większych państw w przypuszczalnym sojuszu — pełnomocnikiem trzech państw był Włoch — Miss Thorne zgłosiła się do włoskiej ambasady...

Wszystkie te szczegóły kojarzyły się w umysłach Mr. Campbella i jego pomocnika, który nadto wiedział, dla kogo była przeznaczona depesza, wystukana wachlarzem.

— Czy przypuszcza pan, że może być ktoś lepszy dla spraw przymierza tu w Waszyngtonie, niż zręczna kobieta? — zapytał Mr. Grimm po chwili.

— Rzeczywiście — odparł szef bez wahania.

— W takim razie nie myślę, żeby było dobrze poruczać sprawę wystrzału komu innemu. Zdaje mi się, że przedewszystkiem powinniśmy jak najwięcej dowiedzieć się o Miss Thorne.

— Naturalnie — zgodził się Campbell.

— Proszę zasięgnąć o niej informacyi we wszystkich większych stolicach, a zwłaszcza w Rzymie, Paryżu i Madrycie, prócz tego może jeszcze w Londynie, Berlinie i Petersburgu.

Mr. Campbell zapisał nazwy miast na kawałku papieru.

— Czy pan zamierza aresztować Miss Thorne za strzelanie? — zapytał.

— Nie wiem — odpowiedział młody człowiek otwarcie. — Gdybym ją teraz aresztował, straciłbym nić głównej sprawy. Nic nie wiem...

— Niech pan działa według własnego zdania, ale proszę nie zapominać o człowieku, który zatrzasnął drzwi przed pokojówką.

— Nie zapomnę — odparł Grimm. — Teraz zaś idę rozmówić się z hrabią di Rosini.

I młody człowiek wyszedł w zamyśleniu, wkładając rękawiczki.

Włoski ambasador przyjął go ze zdziwioną twarzą.

— Przyszedłem — panie hrabio — by zadać panu parę pytań, dotyczących Miss Thorne — wyjaśnił Grimm otwarcie.

Hrabia zdziwił się — ale nie okazał tego.

— O ile się nie mylę, pan hrabia jest opiekunem Miss Thorne w Waszyngtonie?

Hrabia, przebiegły dyplomata, rozważył pytanie i odparł po namyśle.

— Być może, iż za takiego mnie uważają.

Czy mogę zapytać, jakiego rodzaju jest ta opieka — oficyalna, osobista, społeczna — czy też wszystko razem?

Nastąpiła chwila milczenia.

— Nie rozumiem pańskiego zapytania — odparł wreszcie hrabia — Miss Thorne, bez względu na stanowisko, z jakiego będziemy tę sprawę rozpatrywali, w każdym razie w zupełności zasługuje na moją opiekę.

— Przypuśćmy jednak — ciągnął Grimm spokojnie — przypuśćmy, że Miss Thorne strzelała do człowieka i ten jest umierający. Czy w takim wypadku pan hrabia cofnąłby swą opiekę?

— Takie przypuszczenie jest niemożliwe! — wykrzyknął hrabia. — Podejrzewanie ją o coś podobnego tembardziej skłoniłoby mnie do ofiarowania jej pomocy.

— A gdybym dowiódł panu hrabiemu, że Miss Thorne istotnie to uczyniła? — zapytał Grimm.

Usta hrabiego ściągnęły się i zapytał zimno:

— A czy mogę zapytać, do kogo przypuszczalnie Miss Thorne strzeliła?

— Ściśle biorąc, to obojętne. Przypuśćmy, że strzeliła do mnie lub np. do Senora Alvareza.

— Nie mogę odpowiadać na pytanie tak śmieszne!

— Przypuśćmy, że idziemy trochę dalej — ciągnął uprzejmie Grimm — i że pan wie, że ona strzeliła w kogoś, powiedzmy — w Senora Alvareza i może pan ustrzedz ją od konsekwencyi. Czy zrobiłby pan to?

— Ja twierdzę, iż przypuszczanie czegoś podobnego jest zupełnym absurdem.

Mr. Grimm siedział, trzymając ręce na kolanach i obracając sygnet na palcu. Badawcze oczy ambasadora nic nie mogły wykryć na jego spokojnej twarzy.

— Dyplomatyczni przedstawiciele w Waszyngtonie — rzekł Grimm — mają pewne obowiązki względem rządu Stanów Zjednoczonych. Rząd ten gwarantuje ich bezpieczeństwo w swym kraju i nawzajem może żądać od nich wyjaśnień, dotyczących niebezpiecznych, a znanych przedstawicielom obcych państw, osób. Zechce pan hrabia zrozumieć, iż nie twierdzę, że Miss Thorne jest niebezpieczną. Jest jednak pod opieką pana hrabiego i chciałbym wiedzieć, czy na tę opiekę zasługuje?

— Tak — odparł ambasador.

— Więc mogę uważać, iż polecenie, z którem zgłosiła się Miss Thorne do pana hrabiego, pochodzi od osoby, która stoi dosyć wysoko, żeby zapewnić poleconej odpowiednie stanowisko.

— Tak jest w istocie.

— Doskonale — odparł Grimm i pożegnawszy hrabiego wyszedł.

ROZDZIAŁ VI.

Odkrycie.

Jakiś cień mroczył blask szaro niebieskich oczu Miss Thorne, gdy wysiadała z automobilu przed wenezuelską ambasadą i wbiegała lekko po schodach. Służący w liberyi otworzył jej drzwi.

— Jakiś pan czeka na panią — oświadczył — kartka jego leży tu na...

— Czekałam na niego! — przerwała — w którym pokoju?

— W niebieskim, proszę pani.

— Miss Thorne przeszła przez halę, wiodącą do całego szeregu saloników, wychodzących na ogród, odsunęła portyerę i weszła.

— Przykro mi, że musiał pan czekać — zaczęła, poczem dodała ze zdziwieniem: — Ach! przepraszam pana.

Oczekujący powstał i skłonił się:

— Jestem Mr. Grimm z tajnej policyi — przedstawił się z otwartą uprzejmością. — Zdaje mi się,

że pani czekała na kogo innego, ale przecież musiano pani doręczyć moją kartę.

Szaro niebieskie oczy młodej kobiety rozszerzyły się ze zdziwieniem, ale natychmiast uśmiechnęła się uprzejmie i wskazała gościowi fotel.

— Rzeczywiście, spodziewałam się kogo innego.

Mówiąc to Miss Thorne usiadła z drwiącem skrzywieniem ust, złożyła ręce na kolanach i bez śladu zakłopotania spojrzała na swego gościa.

Mr. Grimm przyglądał się jej przez chwilę. Można było odgadnąć w niej, poza czarującym wyglądem, jakąś determinacyę, silną niewzruszoną wolę, śmiały umysł i gienialną intuicyę kobiety.

Chwilę trwało milczenie.

— Czy nie mylę się, biorąc panią za tajnego agenta włoskiego rządu? — zapytał wkońcu Grimm.

— Nie — odpowiedziała uprzejmie.

— W takim razie mogę mówić z zupełną otwartością — zdaje mi się, że nie miałoby celu prowadzenie sprawy w inny sposób? — zapytał.

Miss Thorne uśmiechnęła się, lecz dziwny cień znowu przesłonił jej oczy.

— Może pan być otwartym, naturalnie — odparła — proszę mówić.

— Zraniono Senora Alvareza w niemieckiej ambasadzie poprzedniej nocy.

Miss Thorne przytaknęła ze zdziwieniem.

— Czy to pani strzeliła do niego?

Miss Thorne nie spodziewała się takiego pytania, sprawiło ono jej jednak raczej ulgę, niż zakłopotanie.

— Dlaczego przychodzi pan do mnie z tem zapytaniem?

— Przepraszam panią — ciągnął uporczywie Grimm — pragnąłbym otrzymać odpowiedź.

— Nie, — ma się rozumieć — nie ja strzeliłam — odparła z odcieniem niecierpliwości. A czemu pan mnie o to pyta?

— Dlaczego panią o to pytam? — powtórzył Mr. Grimm, patrząc w jej oczy. Będę zupełnie otwartym, gdyż czuję, że pani w tych samych warunkach byłaby również szczerą — zatrzymał się na chwilę a młoda kobieta skinęła potakująco głową.

— Bezpośrednio po wystrzale przeszła pani przez hall z rewolwerem w ręku, zbiegła pani przez kuchenne schody i wsiadła pani do automobilu na rogu ulicy. Nie jest to przypuszczenie — mogę pani tego natychmiast dowieść.

Miss Thorne wstała gwałtownie, podeszła do okna i stała tam długą chwilę z założonemi w tył rękami.

— To nas prowadzi do innego pytania — ciągnął nielitościwie Mr. Grimm. — Jeżeli nie pani strzeliła, to musi pani wiedzieć, kto to uczynił?

Młoda kobieta nie odpowiedziała.

— Chcę pani wierzyć, — Miss Thorne — dodał.

Odwróciła się żywo.

— Tak, ja wiem — odpowiedziała. — Zaprzeczanie nie miałoby celu.

— Więc kto to był?

— Nie powiem panu tego.

Mr. Grimm pochylił się na krześle i powiedział poważnie:

— Proszę zrozumieć, że przez taką odpowiedź stawia pani siebie na równi z osobą, która faktycznie popełniła zbrodnię. Jeżeli pani będzie się upierać przy tem, zmuszony będę uważać panią za wspólnika.

Poczem dodał, zmieniając ton:

— Może zechce mi pani wytłumaczyć, w jaki sposób dostał się w pani ręce rewolwer.

— Ach! podniosłam go w hall — odpowiedziała niewyraźnie.

— Chcę pani wierzyć, Miss Thorne — powtórzył Grimm.

— Może pan — znalazłam go w hall na podłodze i podniosłam.

— Dlaczego pani to zrobiła, zamiast zaalarmować ludzi.

— Było to niepotrzebne, — huk wystrzału był już alarmem.

— Dlaczego w takim razie — ciągnął chłodno — uciekała pani przez kuchenne schody. Jeżeli to nie pani strzeliła — skąd tak nagła potrzeba ucieczki z rewolwerem w ręku?

Było coś w jasnych oczach Miss Thorne, co zmusiło go wstać. Założył ręce i mówił dalej spokojnym głosem:

— Czemu pani wzięła rewolwer?

Kobieta pochyliła głowę, lecz milczała.

— Są tylko dwie możliwości: pierwsza — to, że pomimo zaprzeczenia, pani strzeliła...

— Nie zrobiłam tego — wyrzuciła żywo przez zaciśnięte usta Miss Thorne.

— Lub, że pani znając rewolwer, podniosła go, żeby ocalić osobę, która popełniła tę zbrodnię. Twierdzę, że jest właśnie to drugie. Gdzie jest rewolwer?

Z przyległego pokoju doleciał słaby szelest, jakby lekkie westchnienie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

W miejsce kresek wstawić odpowiednie litery, które czytane z góry na dół, utworzą znane polskie przysłowie:

— an
ew —
— il
er —
— ak
iw —
— ar
ir —
— ot
to —
— ra
wó —
— ch
ka —
— ko

Łamigłówka literacka.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Znaleźć utwory podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko i imię włoskiego poety.

Kasprowicz ?
Gomulicki ?
Łętowski ?
Asnyk ?
Kowerska ?
Zaleska ?
Korzeniowski ?
Gawalewicz ?
Morawski ?
Gąsiorowski ?
Tetmajer ?
Odyniec ?

Szarada.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

Dwie pierwsze, wiele kosztują
Pierwsza z czwartą siłę okazują,
Wspak druga z pierwszą, rzeka,
Do m rza prost n eka,
W niej *czwarta z pierwszą* płynie,
Aż w iej głebi gd ieś zgınie
Trzecia z drugą spójnik sobie
Używanv w kazd j dobıe,
Sama *trzecia* samogłoską
Wspak zaś druga znów spółgłoską.
Całość, wyspy — gdzie ich szukać?
Trza koniecznie w glob zapukać,
Tam znajdziemy, jak na dłoni
A nazwać je, któż zabroni?...

Zadanie konikowe.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

na	świata	wie	ta	pi	ofia	ród	kra
mi	twar	niej	są	czło	jak	sać	ry
mi	czyż	świa	czy	tro	że	i	7go
o	fea	fea	ty	ści	ma	że	bę
ta	ludz	są	być	ty	dzie	to	na
tro	i	ku	ko	knu	bo	do	pa
zy	kar	pu	ski	w	sa	bia	wa
sta	że	wię	nia	ła	na	lec	pi

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Wojnar, Rzeszów.

Z podanych liter utworzyć przysłowie leniwych ludzi:
Kumie! Łataj portasy w sadzie! Ceń, są choć cent?...

Bilety wizytowe.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z liter imion i nazwisk poszczególnych osób ułożyć ich godność, ewentualnie zatrudnienie.

JAN RYSZTAK

DAMIAN PETRYTESZ

KANTY TAROSZ

PAULIN MANT

Figielek.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Pomiędzy podane litery wstawić odpowiednie samogłoski, aby powstało znane polskie przysłowie:

M k t s t r s z t m g n t w r d s z.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *M. Gawalewicza:* **Bez celu.** Powieść na tle społecznem naszych czasów. 2 tomy

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.